Rok VI. **Nr. 14—17.**

HARCERZ

Pierwsza Drużyna Rzeczypospolitej.



W tegorocznych zawodach Związkowych, które odbyły się podczas wakacyj w Nadkole, pierwsze miejsce uzyskała IV drużyna Bydgoska. Jest to więc na rok bieżący Pierwsza Drużyna Rzeczypospolitej. Na zdjęciu fotograficznem, dokonanem przez wice prezesa Z. H. P. i Naczelnika Głównej Kwatery Męskiej, dha Stanisława Sedlaczka widnieją zadowolone postacie naszych zwycięzców z prezesem ich Koła Przyjaciół jen. Karnickim.

Mogą sobie Czytelniczki i Czytelnicy nasi wyobrazić, jak ciężką jest sytuacja Redakcji, która i cieszyć się musi ze zwycięztwa drużyny bydgoskiej i powinna się smucić z obniżenia — widocznie — wartości Trzynastki warszawskiej, która nie utrzymała palmy pierwszeństwa, zdobytej w roku ubiegłym.

Ponieważ jednak równą miłością i sympatją obejmujemy wszystkie drużyny harcerskie, i te w Rzeczypospolitej i te poza jej granicami, więc raczej z całej duszy wołamy: Cześć zwycięzcom — cieszcie się zwyciężeni. Bo widocznie rozwija się praca w harcerstwie, rosną nasze siły, wiedza, starania. Niechaj ich rozwój nie ustaje.

HARCERZ

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

ROK VI. 15 WRZEŚNIA 1925. Nr. 14-17.

CYPRJAN NORWID.

Święty pokój.

I

Jeszcze tylko kilka ciężkich chmur
Nie-porozpychanych nozdrzem konia;
Jeszcze tylko kilka stromych gór;
A potem już słońce i harmonja...
— Jeszcze tylko hełmu kilka piór,
W wiatru odrzuconych próżnię —
Jeszcze tylko jeden pękły grot,
Błyskawica jedna — jeden grzmot —
A potem już nie!...

II

Tak samo i w życiu — czasów wir
Jezdnego na hippogryfie ima;
Gruby mu rozrywać każe kir,
Trumny przeskakiwać, których niema.
— Za czarnością trumien świta mir,
Wynagradzający słusznie —
I wciąż tylko jeden jeszcze trud,
Wysilenie jedno — jeden jeszcze cud
A potem już nie!...

1863. (Przedruk z Przeglądu Warszawskiego).

Ks. Stanisław Konarski.

Wskrzesić w oczach dzisiejszego pokolenia człowieka, po którym dochowały się skromne szczątki i wspomnienia, ożywić go na nowo tak, byśmy go oglądali konkretnie, twarzą w twarz, czuli jego tchnienie, słyszeli bicie serca, i niemal obcowali z duszą—potrafi tylko historyk artysta z Bożej łaski, jednakowo biegły w przeżywaniu stanów duchowych odległych epok — i szczęśliwy w ekspresji tego, co przeniknął lub odgadł. Ale i on sprosta zadaniu jedynie wówczas, gdy znajdzie w źródłach pełnię barw i kształtów, w które oblecze swą wizję bez uciekania się do przykładów zmyślonyoh albo przenośni. Takie dane miał w sobie i takim materjałem rozporządzał Kubala, kiedy nam pokazywał Chmielnickiego czy Karola Gustawa, a miał on zadanie o tyle jeszcze ułatwione, że królów i bohaterów otacza zawsze wzrok pełen ubóstwienia lub lęku tysięcy świadków—że czyny ich grają tęczą jaskrawych błysków, że piszą o nich kronikarze, pamiętnikarze, korespondenci swojscy i obcy. Trudniejsza sprawa z zakonnikiem, który połowę życia spędził w swej celi lub w sali wykładowej, nie zasiadał w senacie ani w izbie poselskiej, nie wodził za sobą tłumów, a siły twórcze przelał bądź w dusze młodzieży, bądź w parę tysięcy stronic dzieł łacińskich i polskich z zakresu prawa, historji, polityki, pedagogji, teologji, stylistyki, poezji.

Wszakże charakterystykę można ujmować też nieco inaczej: nietyle wskrzeszać, uprzytamniać, ile starać się zrozumieć, i innym wyjaśniać to, co w danych warunkach, z danych pierwiastków według praw życia psychicznego musiało się rozwinąć—i w świetle źródeł — rozwinęło się rzeczywiście. O taką charakterystykę psychologiczną może się kusić każdy historyk-myśliciel, nawet mierny artysta, jeżeli tylko ma dość punktów oparcia w faktach, z których może wnioskować o stałych dyspozycjach badanej duszy, choćby pod ręką brakło plastycznych źródeł do ich zilustrowania. Oczywiście psychologja, o której tu mówimy, nie jest nauką niewzruszoną ani nawet gotową: tu nie wystarczy analiza ogólnych pierwiastków natury ludzkiej: wrażeń, przedstawień, wzruszeń, popędów, instynktów — przydałyby się ścisłe czynniki z zakresu psychologji różnicowej (deferecnjalnej), wnikającej w odrębności charakterów jednostkowych, i zarazem psychologji integralnej, która traktuje człowieka nie jako kalejdoskop przejawów, ale jako jednolitą, wewnętrznie związaną całość. Niestety, te gałęzie wiedzy są dopiero w zarodku, i w braku ustalonych odkryć historyk musi sobie odpowiadać na pytania z tej dziedziny mniej lub więcej po dyletancku.

Czasem biografowi przychodzi z pomocą fizjognomika: dość spojrzeć na portret Ludwika XIV pendzla Rigauda, Cromwella p. Lely'ego, Augusta II i III Silvestre'a, albo na którykolwiek z konterfektów Michała Korybuta, aby wiedzieć, z kim mamy do czynienia. Niestety, wizerunków Konarskiego pozostało niewiele *), a wrażenia, jakie z nich odnosimy, nie są zgodne. Niekiedy bywa to twarz pogodna, pulchna,

*) Jedyna dotąd wiadomość o nich — u Krzemińskiego, 511.

lekko uśmiechnięta: rzekłbyś, jakiś szczęśliwiec, co spędził życie bez trosk w sybarytyzmie—dać mu tylko do rąk kieliszek *chartreuse* i umieścić na flamandzkim obrazku w kompanji również dobrze wykarmionych braciszków! Tak wygląda Konarski na litografji Mintra; podobne rysy, choć bez uśmiechu, nosi jego wizerunek w polskiem wydaniu „Wierszy wszystkich". Ale jest i inne oblicze poważne, skupione, zamknięte w sobie, na portrecie, który niegdyś należał do ks. Franciszka Krupińskiego, a zwłaszcza na tym, co był własnością doktora Vacquereta, a dziś zdobi salę Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Takim go widział książę de Luynes w Wersalu roku 1747, i takim był nasz pijar w okresie najintensywniejszej pracy publicznej.

Wzrostu średniego, dość szczupły i wąski w ramionach, o twarzy pociągłej, lecz prawidłowo zaokrąglonej, brunet, dopiero w siódmym krzyżyku zaczął tyć i osiwiał jak gołąb. Temperament gorący, rwący. Bynajmniej nie sangwinik: choleryk. Nie zapala się nagle i nie stygnie po lada wybuchu: przeciwnie, *ardens et abstinatus,* idzie przez życie z rozpędem, w jednym kierunku, pełen wulkanicznego, przelewającego się przez brzegi żaru. Czasem przeszyje słowem, jak grotem, robaka zdrady, wylęgłego w skalnym ostępie (1732); to znów się zrywa chory, rozgorączkowany, aby „wojować" za ojczyznę (1734);—to uderzy w samoluba kardynała lawą namiętnej skargi (1735)—to rzuca się na „piękne serca" karjerowiczów, a każdem słowem wstrząsa, rozszczepia, wywraca, depcze.

Na takim podkładzie mógł się wyrobić warchoł, krzykacz, procesowicz — wyrósł działacz społeczny o niepospolitej energji. Jakgdyby duch niespokojny kilku pokoleń różnowierców spłynął do jego czaszki, aby ją zapłodnić nowatorską dążnością w różnych kierunkach. Republikańskie środowisko szlacheckie wypromieniowało weń samorzutne popędy Dembickich i Karwickich. Z przeszłości i z otoczenia powstał duchoburca i światoburca.

A wyrósł nie w niczyjej szkole, ani w uniformie, ani w liberji, ale własną pracą, szukając po omacku drogi ku światłu. W tym wychowanku piotrkowskim i podolinieckim, rzuconym nagle na bruk stolic europejskich góruje nad uczniem—samouk. Ani cienia w nim cudzej tresury, na wszystko pogląd własny, krytyczny. Wiara w wolną wolę, jako dźwignię postępu — bez granic. „Chciejmy a możemy", woła do swych ziomków — jedyny w swoim rodzaju zwrot etymologiczny na wypowiedzenie tej samej prawdy moralnej, którą Kant sformułował w słynnemi *„Du kannst, denn du sollst"!*

Sam siebie nietylko wykształcił, ale i wychował Konarski, a według jakiego wzoru, o tem mamy dokładne wyobrażenie według tego, co pisał o „poczciwym człowieku i dobrym obywatelu". Już on napewno nie był podobny do tego proboszcza, co mówi swym owieczkom: „słuchajcie słów moich, a nie patrzcie na czyny moje". Co chwalił, to praktykował. Jeżeli potępia zbytki, sybarytyzm, obżarstwo, kłamstwo, niekarność, niesprawiedliwość, to znaczy, że je uprzednio potępił i wytrzebił u siebie aż do cna. Pijaństwa nie darował ani dalekim ani bliskim. Kobieta, która grała pewną rolę — niezawsze dodatnią — w życiu czcigodnych nawet biskupów, jak Kajetana Sołtyka i Adama Krasińskiego, w życiu Konarskiego jest niczem. Sfera zmysłów, jeżeli wogóle nie zmuszona do milczenia — bo bezcelowa asceza nie była nigdy ideałem

ks. Stanisława — to w każdym razie ściśnięta do najskromniejszej miary.

W sferze uczuć nie szukajmy przypadkowej, wrodzonej harmonji— chwasty są wytępione, sam kwiat i owoc wypielęgnowany. Rodzinę kochał: starszego brata, kasztelana, wysoko cenił, jego wnuków pieczołowicie opatrywał, kształcił, chronił od złego, ale o powodzenie doczesne krewnych mniej zabiegał, niż np. ksiądz Ignacy. Prawdziwą przyjaźnią darzył Śliwickiego i znanych nam kolegów nauczycieli. Do protektorów przywiązywał się mocno, nie poświęcał jednak dla tych uczuć niezawisłego sądu ani jasnej myśli. Towarzyskim jego zaletom oddają pochwały wszyscy biografowie. „Twarz miał przyjemną, która zdawała się wyrażać słodycz serca jego i obyczajów, mowę łagodną... temperament żywy“ (Krajewski). „W życiu prywatnem — świadczy Bielski — łagodny i dobrotliwy, równie miły w obejściu z ludźmi najwyższej i najniższej kondycji, skromny, uczynny, nikomu nie odmawiał rady ni przysługi“.

Zresztą ten zasób serca, który inni trwonili na przelotne sympatje i antypatje, on rozdawał wszystkim rodakom dobrej woli; namiętności uznawał w sobie i kultywował—tylko społeczne. „Widzieć go było—wspomina Krajewski—otoczonego częścią gronem dziatek bez sposobu do życia, częścią rodzicami, opłakującemi ich niedolę, częścią nakoniec jęczącem w niedostatku ubóstwem. Tych wszystkich Konarski, nosząc otwarte ucho i serce na głos litości, wspomagał w potrzebach, za największą poczytując szczęśliwość dla siebie, gdy na wzór kochającego ludzkość Tytusa dzień każdy dobrodziejstwem jakiem oznaczył“. Gwałtowna miłość ojczyzny dominuje w nim nad wrodzonem umiłowaniem wolności; duma demokratyczna świetnego intellektu, spychanego z należnego szczebla przez rozdęte potęgi wielkopańskie, bije równie mocno z kart „Rozmowy Ziemianina“ (1732) i ze „Skutecznych Rad“ (1762). Ale ten sam intellekt Konarskiego-Epaminondy z niemniejszą dumą patrzy na ów gmin wrzaskliwy, który i w Tebach i w Warszawie „łatwo wierzy sobie podobnym i równym, niespokojnym, fałszywym, płochym, wielomównym“, na prawach się nie zna, względów politycznych nie rozumie, łatwo się burzy i łatwo opada.

W jego sarkazmach, inwektywach, djatrybach nieraz aż zbyt rozlewnych, przejawia się duch wrzący, *ardens et abstinatus*, nieposkromiony, nieuginający się nawet przed purpurą kardynalską, gorzki w chwili zawodu, nieukojony w wewnętrznej zgryzocie...

Były setki ludzi tego typu uczuciowego zmarnowanych w gonitwie za prywatą; ten lub ów, czując, jak Konarski, umarłby „z aprehensji“, a bryły świata nie ruszyłby ani na cal: on sam jeden ujarzmił w sobie masę namiętności, aby je nie tylko pokryć maską zewnętrznego spokoju, ludzkości, olimpijskiej pogody — jak to uczynił ów majestatyczny August Czartoryski — ale wytopić z całego piekła — niespożytą energję.

Czyn Konarskiego! Nie znamy Polaka w dawnej Polsce, któryby spełniał takie arcydzieła nieugiętej woli. Jaki dalekosiężny rozmach, jaka konsekwencja w dążeniu! Gdy zamyślił reformę szkolną około roku 1729, gdy wypracował wszystkie jej szczegóły w latach 1741—2, to nie idzie omackiem, nie próbuje, nie cofa się przed lada przeszkodą, lecz najpierw stwarza sobie podstawę operacyjną (Collegium Nobilium), by po latach dziesięciu ruszyć na podbój duchowy Polski. Gdy zaprzy-

siągł zgubę „wolnemu niepozwalam“ (1732), gdy przemyślał i wypisał wszystkie argumenty destrukcyjne, gdy ustalił główne zręby przyszłej konstrukcji sejmowej oraz rządu 1732—8), to znów nie puszcza sprawy na los przypadku, lecz czeka z cięciwą napiętą, z grotem dobrze wymierzonym, którym bałwana ugodzi i uśmierci (1760—3). Do pomysłów, odłożonych na później („De emendandis“ 1740), wraca po latach 27 (De „arte bene cogitandi“ 1767). Dziesięć lat popierał Wilno w walce z jezuitami, przez lat dwadzieścia, wśród tylu innych zmagań wojuje z nimi o Lwów. A gdy już skrzesze iskry mieczem o miecz, jest nieubłagany, o każdą piędź walczy do ostatka. „Niebezpieczny człowiek“, zaiste — ale groźny tylko dla zła i ciemnoty. Namiętny, ale nigdy nie zajadły, nie mściwy; w polemikach lojalny, w taktyce brzydzi się pospolitą intrygą i zdradą.

Słusznie w nim uczcił król-filozof śmiałą inteligencję, słusznie poeta (Lenartowicz) kazał kochać jego „złote serce“ — śmiałych umysłów i dobrych serc mieliśmy jednak więcej: żaden Polak przed Konarskim nie umiał tak wspaniale działać. Kazimierz Jagiellończyk, czujny i wytrwały w polityce zagranicznej, niedbały w domowej, traci na jednem polu, co zyskiwał na drugiem, i tracił na zawsze; Zygmunt August miękki i subtelny przekształcał się razem z otaczającym światem. Zamoyski zmieniał ton, barwę, postawę; Żółkiewski, Chodkiewicz, Czarnecki działali, gdy ich los stawiał na posterunku, nie według własnego z góry powziętego planu; Ossoliński przegrywał partję po partji; Sobieski wznosił się i opadał, aż się załamał wewnętrznie. Jeden jedyny Skarga-agonistes odznaczał się w pracy publicznej takim samym, jak Konarski, zwycięskim rozpędem, aleć to był rozpęd całej gwardji jezuickiej, całej armji odradzającego się Kościoła, kiedy *Sapere Ausus* borykał się z inercją bliskiego otoczenia i tylko na tych mógł liczyć sojuszników, których umiejętnie pozyskał lub urobił...

Gdzie klucz tajemnicy tej niesłychanej energji? Poniekąd — w wewnętrznej spoistości całego jego moralnego jestestwa. Zasadniczo wierny sobie, od początku do końca jednakowo religijny—kto nie wierzy, niech sprawdzi identyczne przekonania wygłaszane w „Ustawach“ (1741—2), w „Mowie o poczciwym człowieku“ (1754) i w „Religji poczciwych ludzi“ (1769, 1771) — miał Konarski w swem życiu takie lata, kiedy śmielej rwał owoce z drzewa nowości (1730—1742), i inne lata, kiedy bacznie strzegł podstawowych skarbów katolicyzmu. W zetknięciu z Poniatowskimi (1732, 1764) skłaniał się lekko w stronę monarchji; pod wpływem Tarły reagował silniej na dźwięk haseł republikańskich, rady swoje przystosowywał w szczegółach do okoliczności, w których je miał urzeczywistniać — ale swej myśli przewodniej nie zaprzeczył nigdy. O żadnem też załamaniu czy przewrocie między „małym charakterem“ z doby Klemensa XII (1732) i „poczciwym, rozsądnym“ patrjotą o trzydzieści lat starszym[1]) (1762), nie może być mowy.

* * *

Mieliśmy w czasach nowszych marzycieli, idealistów pierwszej klasy, zwłaszcza w okresie niewoli; jeszcze więcej w dobie swawoli — wytrwałych na wielką skalę samolu-

---

[1]) Askenazy. Dwa stulecia I, wyd. 2. str. 99; tenże, Die letzte polnische Königswahl, 15, o radach „eines wohlmeinenden besonnenen Mannes".

bów, groszorobów z soli albo roli, lecz bez idei: nikt nie dorównał Konarskiemu umiejętnością realizowania ideału.

Wiek XVIII widział więcej, niż jakakolwiek epoka przed rozbiorami dążeń rozbitych o skały obcej przemocy lub osiadłych na mieliźnie krajowej apatji i bezmyślności. Próbowali różni zbawić ojczyznę, rzucali się z motyką na słońce, walili głową o mur, aby skonać z westchnieniem lub klątwą na ustach: Konarski pierwszy budował przyszłą Polskę dłonią nieomylną. Czego się tknął, wszędzie wcześniej czy później zostawił ślad dodatni.

W poezji — że zaczniemy od zasług podrzędnych — nie dorównał Sarbiewskiemu; bądź co bądź, utwory jego były czytane w szkołach angielskich jeszcze w wieku XIX, i można o nich skromnie a trzeźwo powiedzieć z księdzem Zacharjaszewiczem, że pisał dobrze, choć nie najlepiej, pisał nie bez wdzięku, a utwory swe pierwszy napełnił użyteczną obyczajów filozofją.

Z teatru wygnał niesmaczne elukubracje jezuickie. napełnił go duchem klasycznym; jego „Epaminondy" pod względem artystycznym nie zaćmili Rzewuski, Bohomolec, Minasowicz.

Nauczanie gramatyki posunął o duży krok naprzód.

Pod historję położył szeroki fundament w „Woluminach Legum".

Postanowił naprawić błędy wymowy — i stworzył nowy okres w dziejach języka oraz stylu: bez niego nie mielibyśmy Krasickiego ani Trembeckiego, Stanisława Potockiego ani Woronicza.

I nietylko mówić nauczył przekonywująco: jako nauczyciel „dobrego myślenia" wyrobił sobie dobre imię w dziejach polskiej filozofji.

Zachęcał do czerpania z obcych swobodnych natchnień, umiał odrzucać plewy parafjańszczyzny, ale ziarno pogłębionej wiary i etyki katolickiej zachował nietknięte.

Gdyby tylko tyle sprawił, co zdziałał ubocznie i jakby mimochodem, jużby zasłużył na słowo pogrzebowego kaznodziei: *non totus recessit a nobis.* A cóż powiedzieć o jego dziele głównem—wychowawczem i publicystycznem!

Historja pedagogji w porównaniu z historją polityczną mniej rejestruje jałowych przemian i przesunięć, po których nic nie pozostaje, więcej ma do powiedzenia o stałym wzroście umiejętności wychowawczej. Jednak i ona pełna jest jednostronnych zapędów oraz ruchów odwrotowych, które z punktu widzenia teoretycznego zakrawają na sprzeczności, a historykowi przywodzą na pamięć znaną naukę Hegla o tezie, antytezie i syntezie. Reakcją przeciw suchej scholastyce była szkoła humanistyczna, reakcją przeciw zbyt łacińskiej humanistyce realizm, oparty na naukach przyrodniczych. Po jednostronnych reakcjach następowały próby łączenia wypróbowanych wskazań tezy i antytezy: sprzeczności odpadały, pewna część okazywała się nabytkiem wartościowym na czas dłuższy. Owóż Konarski nie należy do tych olśniewających, oryginalnych i skrajnych reformatorów wychowania, co wywoływali przewroty, rzucali iskry w daleką przyszłość, a z teraźniejszością byli w radykalnem przeciwieństwie. Był, mimo wszystko, połowiczny, ale też trzeba pamiętać, że mu chodziło nie o eksperymenty i walki wewnętrzne, lecz o uratowanie tonącego narodu i o wytworzenie w tym celu takiej elity, za jaką szeroki ogół mógłby nadążyć. Ten cel w wysokim stopniu osiągnął, skoro wychował trzystu

kilkudziesięciu konwiktorów, z których stu zasiadło w Sejmie Czteroletnim do pracy nad wiekopomną Konstytucją. On, nie Adam Czartoryski, torował drogę Szkole Rycerskiej; on też, a nie Chreptowicz ani Massalski, zainicjował Komisję Edukacji Narodowej.

Reformie szkolnej Konarskiego oddano sprawiedliwość wcześnie i bez uprzedzeń; jeżeli też później pod wpływem przejciowych nastrojów ocena jej wypadała jednostronnie i nie dość słusznie *), to krytyka naukowa umiała z takich zboczeń nawrócić. Przeciwnie na należytą ocenę jego wskazań politycznych i konstytucyjnych współcześni długo nie umieli się zdobyć, a i potomni nie ogarnęli ich dotąd w całości. Otóż zapamiętać należy, że jeszcze przed wydaniem dzieła „O skutecznym rad sposobie“ Konarski pierwszy wygłosił (1732—3) ideę niepodległości i samowładztwa narodowego, pierwszy w publicystyce wystąpił przeciw pretendowanej obcej gwarancji; pierwszy żądał dla chłopów wolności, oczynszowania i uwłaszczenia; nawoływał do podźwignięcia mieszczaństwa; postawił narodowi przed oczy niebezpieczeństwo żydowskie; nazwał po imieniu wyzysk, praktykowany przez gdańszczan nad handlem polskim; upomniał się podczas Wojny Siedmioletniej o zwrot lenna Pruskiego wraz z szerokim brzegiem Bałtyku. W spornej kwestji: jakiego króla Polska potrzebuje, zaproponował rozwiązanie najlepsze, aby nim był nie Piast i nie obcy monarcha, lecz polski królewicz dynasta — bez ziemi.

A jeśli mowa „O skutecznym rad sposobie“ i o zawartych w tym traktacie postulatach, to wszak Konarski nietylko przedstawił „w prawdziwem świetle, czem był nierząd polski i do czego on prowadził“. nietylko „obalał liberum veto i rzucił myśl dziedziczności tronu“, nietylko „udowadniał, że jednomyślność w sprawach tak złożonych, jak są polityczne, jest warunkiem niemożliwym do spełnienia“, on nadto wypróbowawszy swe siły w przebudowie wewnętrznego ustroju zakonu, podyktował narodowi główne zasady ustroju państwowego. Od niego powinna się zaczynać historja naszej demokracji, zdolnej do zdrowego rozrostu, i dlatego, i zato zakutej w kajdany przez obcą przemoc. A zaś przez to, co jego system zdziałał w nas, żyje Konarski i dla Europy Zachodniej. Nic to, że był samotny, że kosmopolityczna rzesza filozofów nie dosłyszała jego cennych dla wszystki ludów rad i spostrzeżeń *), i że dziś pośród sporów

*) Mamy na myśli zwłaszcza sąd Mickiewicza: Literatura słowiańska, lekcja VIII. Dzieła wszystkie, wyd. T. Piniego, VI, 75: „K. podzielał wszystkie przewidzenia swojego wieku: zdawało się mu, że dość napisać artykuł ustawy, aby naprawić konstytucję narodu ...; tego nie rozumiał, że źródło wszelkich wad i słabości narodu jest w jego obyczajach, że, chcąc budowę społeczeństwa wzmocnić, trzeba poprawić obyczaje kraju, a zmianę lub robotę instytucyj zostawić jemu samemu i czasowi; powstawał więc tylko na formy zewnętrzne i całe życie szukał sposobu, jakby inaczej uorganizować sejmy, trybunały i szkoły... Idąc za wyobrażeniami powszechnie przyjętemi, rozumiał on, że można człowieka zapomocą prawideł uczynić wymownym, nie działając na jego duszę, dać mu dar pociągania i przekonywania innych, kształcąc sam tylko umysł, wydobyć siłę twórczą“.

*) Rękopiśmienny egz. franc. przekładu I i II części „O sk. r. sposobie“, sporządzonego na zamówienie Paulmy'ego' posiada Biblioteka Arsenału w Paryżu; niemiecki przekład p. t. „Von einem nützlichen Mittel zum Bestande der ordentichen Reichstage Pohlen“, i wyszedł u Mizlera w r. 1762, podobno na zamówienie Augusta III; obejmuje on też tylko 2 pierwsze części.

na Zachodzie o prawa większości i mniejszości, i nikt nie wspomina o Konarskim. Niezależnie od szczęścia, które mu nie dopisało, miejsce jego, chociaż w innej hierarchji duchów, jednak jest na poziomie Locke'a, Monteskjusza, Rousseau'a, Blackstone'a i innych inicjatorów dzisiejszego konstytucjonalizmu. Wskazując świetlaną drogę wszystkim reformatorom ery stanisławowskiej, wyprzedzał ich Konarski o całe pokolenie: „Obalał liberum veto“, prawda, lecz pozostały w tyle naród wyzbył się bałwochwalstwa dopiero w dobie Sejmu Czteroletniego.

Uzasadnił rządy absolutnej większości, ów punkt szczytowy, do którego musiał dojść naród bez wahania i kompromisu: a wszak jeszcze 10 lat po nim czytano brednie Wielhorskiego, pisane przeciwko jedynie możliwej zasadzie sejmowania, i sam światły Kołłątaj zatrzymywał się na racjonalnej drodze przy barjerach większości kwalifikowanych, i bezwzględny Staszic stracił śmiałość w tej kapitalnej kwestji. Rzucił Konarski myśl dziedzicznego tronu— a ileż to jeszcze wściekłej reakcji wyrwało się przeciw tej myśli z mózgów zacofanych! Oczyścić chciał sejmiki z ludzi niegodnych sejmikowania, a toż dopiero ustawa marcowa roku 1791 spełniła jego radę. Zalecił zbiór posłów i deputatów większością—usłuchano go już w roku 1768, i Czartoryscy zaraz w r. 1764 zabronili przysięgać na artykuły wojewódzkie, ale naród poszedł za nimi dopiero na Sejmie Czteroletnim. Domagał się rady nieustającej, i król Stanisław obmyślał ją już w r. 1766, lecz wrogowie wewnętrzni i zewnętrzni skradli ten pomysł*), aby go skarykaturować, bo wykonali go w duchu krańcowo antymonarchicznym i bez równoległej reformy parlamentarnej.

Rzecz szczególna i niewesoła: mieliśmy własne objawienie, system Konarskiego, mimo wszystkich usterek, najlepszy, jaki ktokolwiek mógł wymyślić w okresie wszechwładnego jeszcze nierządu — i niechcieliśmy go wcielić w życie, i biegaliśmy po radę do niekompetentnych powag **Rousseau'a** i **Mably'ego**, z których pierwszy mógł tylko prowadzić do obłędu, drugi — tylko przyłączyć się do wniosków dobrze nam znanych... Niektórych prawd przydatnych system Konarskiego nie odsłonił, niektórych może poprostu nie zdążył rozwinąć. Sejm Czteroletni nie poszedł za nim w sprawie uzależnienia władzy wykonawczej od prawodawczej; sejmowi przeciwstawił wzmocniony tron królewski; mieszczanom dał nieco więcej, niż żądał Konarski, chłopom bez porównania mniej. Niejedno podpowiedziała mu zagranica, niejedno dojrzało po śmierci Konarskiego. Uznając wszelako polityczną wyższość Ustawy Rządowej nad systemem Skutecznych Rad, godziłoby się spytać, czy wiekopomny sejm poczuwał się do uczniowskich uczuć względem swego mistrza, czy oczyścił się z resztek owego niechętnego nastroju, który kazał ciemnej opozycji „patrjotycznej“ nie doceniać rad pisarza, związanego z dworem warszawskim. **Staszic** w „Uwagach“ i **Kołłątaj** w „Listach“ nie złożyli Konarskiemu należytego świadectwa zasługi.

Świadectwo to historja dała z mocą nieodwołalną On był *praeceptor Poloniae**), był taką potęgą w sferze myśli obywatelskiej, jak **Mickiewicz** w dziejach odrodzenia uczuć patrjotycznych. Jak **Kopernik** „wstrzymał słońce, ruszył ziemię“,

*) Sam **Stackellerg** powoływał się w r. 1773 na powagę **Konarskiego** ob. Solowjew VI. 992-3.

*) Jak **Melanchton** — praeceptor Germaniae, por. zdanie **Chrzanowskiego**, wśród zagadnień, książek i ludzi, 235-6.

podobnie Konarski kazał jednostce obracać się koło słońca — narodu, a nie żądać, żeby się naród stosował do jej „nie pozwalam"; jak **Sokrates** według słów **Cycerona** (Tusc. disputationes, l. V., c. II, § 10) pierwszy filozofję odwołał z nieba, umieścił w miastach, wprowadził nawet do domów i zniewolił do badania życia, obyczajów, dobra i zła — tak samo Konarski kazał republikanom polskim budować gmach państwa nie od szczytu, nie od tych rojeń lekkomyślnych i nieszczerych o jednomyślnościach, unjach dusz, wolnościach bez granic i bez odpowiedzialności, ale od spodu, biorąc za punkt wyjścia zdrowe, twórcze popędy obywatela-patrjoty.

Władysław Konopczyński
prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego.

II Zawody Związkowe — Nadkole.

Trzynastka Warszawska uzyskała drugie miejsce.



Altana w obozie Trzynastki Warszawskiej.

A w cieniu grzyba na maszynie pisze drużynowy druh Mikulski...

Fot. St. Sedlaczek.

WYBÓR ZAWODU.

Uniwersytety i wyższe szkoły są u nas przeludnione. Z tych licznych tysięcy akademików zaledwie szczupłe grono najszczęśliwszych może dobić do celu, reszta — często 3/4 całości stanowiąca, to ludzie przepracowani, złamani losem, malkontenci, a nawet wykolejeni. Co za wielka szkoda dla nich i dla Ojczyzny. Ów nienormalny pęd do wyższego wykształcenia zawdzięczamy w pewnej mierze nadmiernej ilości średnich szkół ogólno-kształcących (jak gimnazja, licea i t. p.); męskich i koedukacyjnych zakładów tego typu, nie licząc żeńskich szkół, jest w kraju przeszło czterysta. W pobliskiem miasteczku jest gimnazjum, więc młodzież tam uczęszcza i w ten sposób bezkrytycznie wciąga się w prąd tak zwanego „wyższego wykształcenia". Zawrócić bardzo trudno i dla wielu to niedokończone „wyższe wykształcenie" było przeszkodą w normalnym rozwoju jego życia. A jednak niema pracy „wyższej" i „niższej", może być tylko społecznie **użyteczna**, **zbędna** lub **szkodliwa.** Szkoła czy uniwersytet powinny do tej pracy przygotować. Im lepiej, sumienniej się będzie pracowało, a praca będzie użyteczna, tem wyżej oceni społeczeństwo danego człowieka, nie bacząc na to, czem jest. Wybór zawodu gra tu wielką rolę, gdyż należy uwzględnić dwa czynniki: zamiłowanie kandydata do tej lub innej pracy: więc umysłowej, technicznej, rolnej i t. p., a także potrzeby danego kraju lub społeczeństwa. U nas rolnictwo przeważa, a ponieważ rolnictwo musi być obecnie uprzemysłowione, więc jeszcze rozszerza się zakres tych specjalności, jakie dadzą się tu uwzględnić. Więc ogrodnictwo ze wszystkiemi poddziałami, jak: sadownictwo, ziółkarstwo, owocarstwo, warzywnictwo, kwieciarstwo; w innych technika, jak: chmielarstwo, przetwórnictwo t. j. suszenie owoców i warzyw, wina owocowe, marmelada i t. p. estetyka, jak: zakładanie parków, potem produkcja zwierząt i wszystkie z nią złączone techniczne urządzenia dają pojęcie, jak możnaby było tę litanję przedłużyć. Każda indywidualność znajdzie zastosowanie, każdy może wznieść się do największej doskonałości w jednym z tych specjalnych działów. Wtedy będzie ceniony, jako człowiek z „najwyższem wykształceniem".

W porównaniu do szkół średnich ogólno - kształcących, co do liczby których daliśmy wzmiankę, szkół rolniczych i ogrodniczych jest bardzo mało: zaledwie 9 (t. j. 6 rolniczych i 3 ogrodnicze średnie szkoły) i to z niewielką ilością uczniów. Z tej drogi trudno zawrócić Rządowi, choć czyni w tym kierunku duże usiłowania, jeszcze trudniej społeczeństwu zejść z raz wyżłobionego toru. Tylko każdy z osobna kandydat musi się zastanowić i obrać sobie właściwą drogę. Wtedy na pozór najtrudniejsza praca stanie się łatwą, bo miłą t. j. wybraną, jako jedyna umiłowana. Kandydat po skończeniu 4 klas **gimnazjum** lub 7 wydz. szkoły powszechnej musi się zdecydować, czem zostanie. Aby ułatwić wybór Towarzystwo Ogrodnicze w Lublinie założyło Trzechletnią Szkołę Średnią Ogrodniczą męską (adres: Uniwersytet, Lublin dla Szkoły Ogrodniczej). Wśród młodzieży jest duży zastęp takich, którzy nie mogli uzupełnić począt-

ków (czy to, że nie było w pobliżu szkoły, czy, że wojna, bolszewicka niewola i t. p. nie dały się uczyć normalnie). Dla nich Towarzystwo Ogrodnicze w Lublinie urządziło Oddziały Przygotowawcze.

* * *

Bardzo wielka jest liczba tych, którzy serdecznie ukochali przyrodę, ale pogłębieniu wiedzy w tym kierunku stoją na przeszkodzie żmudne godziny, spędzane nad innemi przedmiotami programu szkolnego. O ile weselej byłoby takiemu miłośnikowi przyrody pracować nad przedmiotami ukochanemi, aniżeli ślęczeć nad tem, co koniecznie trzeba zrobić, choć ono nie pociąga, bo tego wymaga program szkolny.

Dziś zaczynają myśleć nasze najwyższe władze oświatowe nad stworzeniem całego szeregu takich instytucyj kształcących, które, specjalizując wychowanków w pewnym kierunku, dawałyby narodowi i państwu ludzi wykształconych zawodowo i miłujących ten zawód i jego nauki.

Dopóki jeszcze tych różnych szkół niema, trzeba korzystać z istniejących.

LATO 1925.



Wiceprzewodnicząca Z. H. P. druhna Marja Wocalewska (X) przyjmuje przyrzeczenie w drużynach warszawskich.
fot. St. Sedlaczek.

O Dumie Obowiązku.

Każdy z was dobrze to wie, że duma nie zawsze bywa szlachetnem uczuciem. Jest zabawna powiastka Sienkiewicza o pewnej panience, która była bardzo dumna, tak bardzo, że na spowiedzi nawet przyznała się z dumy tylko do jednego grzechu— dumy właśnie. Ksiądz staruszek spojrzał na dziewczynę i pyta:

— A dlaczegóż to jesteś dumna? Czyś może z bardzo wysokiego rodu?

— Ej, nie.

— To może jesteś bardzo bogata?

— I to nie.

— A może bardzo piękna?

— Nie sądzę.

— Chyba więc jesteś bardzo wykształcona?

— Nie więcej, niż moje rówieśnice.

Ksiądz uśmiechnął się dobrotliwie. „Kiedy tak", rzekł, „to uspokójże się moje dziecko, bo ty nie jesteś dumna, tylko głupia, a to nie jest grzech"...

Z pewnością nie do takiej dumy chcę tu was zachęcać, pisząc, że jest pewna duma harcerzowi potrzebna. Mam na myśli tę jedną jedyną, której uczuciem śmiało może wzbierać wasza pierś: dumę podjętego i spełnionego obowiązku. Wiem, że często obowiązek bywa nudny i że młoda dusza nieraz zżyma się i niecierpliwi, gdy prawi się jej o przymusie. Swoboda was nęci—i słusznie; zrywać się do śmiałego, wolnego lotu pragniecie, nie nakładać sobie więzów. Otóż chciałbym wam powiedzieć, że obowiązek niekoniecznie jest skrępowaniem, ścieśniającem pęd duszy, że przeciwnie — jeśli tylko odczuć go należycie—może stawać się źródłem poczucia siły wewnętrznej, od której duch pręży się radośnie.

Skąd biorą się obowiązki? Stąd, że żyjemy nie sami w pojedynkę, lecz w zbiorowościach i że ludzie zbiorową tylko pracą torują sobie drogę przez życie ku coraz lepszej przyszłości. Nikt nie jest takim olbrzymem, by sam, o własnych tylko siłach, mógł dźwignąć w górę jakieś naprawdę wielkie dzieło. Genjalny uczony może wprawdzie w ciszy pracowni, zamknięty sam z myślą swą tylko, odkrywać niebosiężne prawdy. Ale jeśli prawdy te mają wejść w życie, jeśli mają nabrać potęgi twórczej, to trzeba, żeby setki i tysiące i miljony ludzi wzięły je w siebie, ukształtowały na nich zapatrywania i wedle tych oświeconych poglądów pokierowały swą działalnością. Bez tej współpracy mnogich rzesz, wcielających w życie wielką myśl, poczętą w samotności ducha, wszelkie wysiłki odkrywcze najgenjalniejszej nawet jednostki zwiędną i obrócą się w niwecz, jak gdyby nigdy się nie narodziły.

Skoro zaś współpracą stoją zbiorowości i współpraca tylko wynosi je na coraz wyższy poziom kultury, przeto każdy, kto pragnie społeczeństwo swoje widzieć w pierwszych szeregach kroczącej naprzód ludzkości, musi przyczynić się, aby współpraca była w tem społeczeństwie jak najbardziej sprawna i owocna. To jest **zasadniczy obowiązek**, który spełnić musi, kto nie chce być darmozjadem, komu nie jest obojętne, czy kraj, który go wydał, pogrąży się w nędzy i pogardzie, czy, przeciwnie, zajmie zaszczytne miejsce wśród innych państw i narodów. Wmyślcie się

dobrze w rzecz, a odkryjecie, że z tej zasadniczej powinności wspierania pracy zbiorowej—pracy, dzięki której społeczność rozwija się i zyskuje szacunek — płyną wszelkie poszczególne obowiązki: i obowiązek uczciwości i obowiązek dotrzymania danego słowa i obowiązek odważnego przeciwstawienia się wrogom kraju i obowiązek posłuszeństwa wobec prawej władzy i wiele innych, do których poczuwa się człowiek, kroczący z podniesionem czołem i śmiało patrzący ludziom w oczy.

W świetle tej zasadniczej powinności staje się zrozumiałem, dlaczego to świadomość spełniania obowiązku może tak wyprostowywać kark człowiekowi. Skoro bowiem obowiązek popycha nas ku mnożeniu i usprawnianiu współpracy w zbiorowości, ku przestrzeganiu wszystkiego, co jest współpracy tej warunkiem—to spełnić obowiązek znaczy **być przydatnym** w wielkiem dziele rozwijania się społeczności ludzkich. A jak niema uczucia, któreby człowieka czyniło nędzniejszym, niż uczucie, że nie jest się nikomu potrzebnym, nikomu pożytecznym i przez nikogo przeto oczekiwanym, tak naodwrót, jakaż świadomość może być podnioślejsza nad przekonanie, że pracą swą stajemy się współtwórcami tego, co wyrasta ponad każdego z nas z osobna, współtwórcami wielkości i sławy narodu? Czy nie wolno być dumnym temu, kto może sobie powiedzieć: „spełniam obowiązki, a więc sprawiam, ile w mej mocy, aby w ojczyźnie mej było jasno i pięknie, aby w niej żyli ludzie szczęśliwi i aby szanowali nas postronni"?

Gdy wielki admirał angielski Nelson gotował się pod Trafalgarem do walnej rozprawy z flotą francuską, wydał tuż przed bitwą rozkaz do żołnierzy, który zawierał te tylko, w spiżu kute słowa: „Anglja spodziewa się, że każdy spełni swój obowiązek". To wystarczyło marynarzom angielskim. Zrozumieli i — zwyciężyli. I nazawsze pozostaną żywi w pamięci narodu.

Harcerze polscy! Nie dlatego przytaczam Wam tu ten głosem dzwonu nieśmiertelności dźwięczący rozkaz Nelsona, iżbym sądził, że głównem polem, na którem może okazać się Wasza obowiązkowość, to pole walki orężnej z wrogiem. Do walki tej przygotowanym być trzeba, ale na szczęście jest ona w dzisiejszem życiu narodów czemś wyjątkowem. W życiu codziennem niema miejsca na chwałą okrywające bohaterstwo, ale przecież na każdym kroku jest sposobność do okazania, czy jest się zerem, czy też jednostką, która pracą i działalnością podpiera gmach bytu zbiorowego. Człowiek, który nie poczuwa się do żadnego obowiązku to samolub, podobny do psa, który w kącie ogryza porwaną kość; jak ze złym psem też obejdą się z nim ludzie. Śmiało natomiast, z męską dumą, uśmiechając się do siebie — i innych, — idzie przez życie ten, kto świadom siły swej woli współtwórczej mówi sobie: kraj może oczekiwać, że spełnię swój obowiązek.

Mieczysław Szerer.

J. LESZCZYŃSKA

C R E D O.

PAMIĘTAJ, ŻE JEST BÓG!
CHOĆ PRZYJDZIE SZAŁ
ROZLEWU BRATNIEJ KRWI,
CHOĆ BUCHNĄ OGNIE DZIAŁ,
CHOĆ PIERZCHNĄ CICHE SNY,
CHOĆ ZEMSTY ZAGRZMI RÓG,
PAMIĘTAJ, ŻE JEST BÓG!

I NIE TRAĆ WIARY WEŃ,
TEJ ZŁOTEJ PRZĘDZY,
CO Z NIEBEM ŁĄCZY CIEŃ
PADOLNEJ NĘDZY.
I CHOCIAŻ POŻAR WSTANIE
NA ZIEMI WZDŁUŻ i WSZERZ,
TO W LUDÓW WIERZ ZARANIE
I W BOGA WIERZ!

A WROGI — CIEŃ i NOC,
A SZANIEC — KAŻDY PRÓG,
GDZIE ZAWSZE, WSZĘDZIE BÓG!

I NIE TRAĆ WIARY WEŃ,
TEJ ZŁOTEJ PRZĘDZY,
CO Z NIEBEM ŁĄCZY CIEŃ
PADOLNEJ NĘDZY.
I WIERZ, ŻE DUCH POWSTANIE,
PRZENIKNIE ZIEMIĘ WZDŁUŻ I WSZERZ —
I W LUDÓW WIERZ ZARANIE,
I W BOGA WIERZ!

Harcerz jest oszczędny i ofiarny.

BACZNOŚĆ.

Skończony okres wakacyjnych wywczasów i wakacyjnych prac. Wewnątrz serc swoich obliczą wszyscy, o ile spełnili swoje zamierzenia, o ile powiększyli swoje siły i wyszkolenie, ile wreszcie dali społecznej pracy z siebie.

A teraz, gdy każdy z nas i każda wróci do swej codziennej pracy, stanie wobec szeregu nowych obowiązków, jakie na nas chwila obecna wkłada.

Może dopiero teraz, patrząc na trudności w każdym domu, słysząc o padających w gruzy instytucjach, czytając o rosnącem ubóstwie, a gdzieniegdzie wprost nędzy—dopiero teraz widzi młodzież, że naprawdę walka o niepodległość naszą nie skończyła się na polach krwawych bitew, gdzie i młodzież też legła — że owa walka trwa i młodym poważne w niej zostało miejsce i niepoślednia rola.

Więc uświadamiając sobie swoje obowiązki, czy to przy warsztacie, czy na roli, czy na ławie szkolnej, czy w domowem gospodarstwie — musi sobie całe — całe bez wyjątku młode pokolenie uświadomić i inny swój obowiązek: istnienie młodzieży dorastającej w społeczeństwie musi zaznaczyć się wzięciem przez nią na swe silne barki części obowiązków względem państwa. Iść one będą w trzech kierunkach, które zresztą i Rząd nam wskazuje:

Oszczędność czasu, oszczędność grosza i oszczędność sił!

Pierwszy rodzaj oszczędności szczególnie młodzież szkolna będzie mogła zastosować, dla której Ministerstwo Oświaty zmniejsza obecnie programy naukowe — ale zmniejsza w tym celu, byśmy nie rozpraszając myśli na coraz nowe tereny umysłowej pracy, skupili się, wgłębili się w owe tajemnice wiedzy, które posiąść jest obowiązkiem wieku młodego. Tę oszczędność czasu wszędzie musimy zastosować: cokolwiek robimy, róbmy dokładnie, systematycznie — nie powierzchownie! Tosamo zastosować musi i młodzież robotnicza i młodzież wiejska. Każdą pracę wykonaj najdokładniej, bo w ten sposób zaoszczędzisz czas, nieodzownie potrzebny później dla poprawienia niedokończonej, niedokładnej roboty.

Oszczędność grosza wszyscy musimy zastosować. Na przyszły miesiąc pomówimy o niej obszernie. Dziś rzucamy tylko myśl, która na długie, długie lata musi w Polsce zapanować. Żadnej rozrzutności, wszędzie skromność i ograniczenie się do najkonieczniejszych tylko wydatków.

Z tem wszystkiem zaś łączy się oszczędność sił. Bogaty jest nasz naród—ale tak trwonić siły, jak dotąd,— to zguba. Kto ma zdolności w pewnym kierunku, musi je rozwijać — inaczej zmarnuje je, a one nie jego

tylko są własnością. Kto ma zdrowie niezbyt silne, musi nad niem czuwać, bo ono nie do niego tylko należy.

Niemcy wydały Polsce, jak wiemy wojnę gospodarczą. Niczego kupować od nas nie chcą i nie chcą sprzedawać nam tego, co nam koniecznie potrzebne. Liczą Niemcy na to, że nie damy sobie rady bez nich. A przecież przy wytężonych staraniach Rządu, które już podjęto, aby znaleść rynki zbytu dla naszych produktów, aby podnieść własny przemysł i wystarczyć sami sobie, przy drobnej tylko pomocy od obcych, przy usilnych staraniach i zdecydowanej woli całego społeczeństwa, możemy wygrać wojnę. I wtedy jak na harcerzy przystało, radować się będziemy, że jest w nas dość siły, że naród nasz dość potężny, by wygrać i gospodarczą wojnę.

W każdem środowisku, w każdem mieście, czy na wsi, w każdej szkole i klasie powinni druhowie i druhny stać się ośrodkiem pracy nad podniesieniem naszego przemysłu.

Pamiętajcie, że ci, którzy pracują w fabrykach w Polsce, to Wasi bracia, to ojcowie czy wujkowie niejednego z braci waszej harcerskiej. Czyż pozwolicie na to, aby oni tracili zarobki, aby coraz więcej zamykano warsztatów pracy, pozbawiając chleba Waszych współobywateli, ojców harcerek i harcerzy?!

To mało jest robić zbiórki i na nich propagować hasło popierania polskiego przemysłu. Harcerki i harcerze muszą wpoić w krew swoich współkolegów, całego swego otoczenia, że tych wyrobów, które są w kraju, z zagranicy sprowadzać nie wolno, a z zagranicznych korzystać tylko wtedy, gdy życiu grozi ich nieposiadanie.

Z całą siłą, z całą młodzieńczą mocą rzućcie hasło: Przedewszystkiem miłość własnego przemysłu, własnych fabryk, własnego robotnika. Obcych teraz popierać nam **nie wolno.**

Ale tego wytrwania, tej ogromnej oszczędności na każdym kroku i na każdem polu musimy przestrzegać wszyscy i uczyć tego całe otoczenie.

Więc do pracy! Baczność! z. u.

Z życia skautowego

Niezwykłe lekarstwo.

Słyszeliście zapewne, że Skautowi Naczelnemu polecili byli lekarze na pół roku wstrzymać się od wszelkich zajęć i odbyć gruntowną „kurację". Zapisali mu... łowienie ryb. Widocznie doskonały to środek, gdyż z ostatnich numerów pism angielskich dowiadujemy się, że Baden Powell wrócił do roboty i choć wiele ma lat za sobą — urodził się 22 lutego 1857 r. — pełen jest energji, dobrego humoru i zapału. Niejeden z nas mógłby mu zazdrościć.

Toteż warto czytać rady Baden Powella, jak żyć, aby być szczęśliwym, zawarte w książce „Rovering to succes". Zaczął je drukować „Czuj Duch"— a wkrótce „z sfer Głównej Kwatery", wyjdzie przekład książkowy owej „Wędrówki po szczęście".

Harcerskie obozy przysposobienia wojskowego.

W Zegrzu zorganizowało Ministerstwo Spraw Wojskowych i Naczelnictwo Z. H. P.

STANISŁAW BEŁZA.

Na walce byków w Madrycie

(Wyjątek z większej całości.)

I oto jestem już na miejscu. Przedemną pozbawiona dachu, okrągła arena, wprost żelazne wrota, wiodące do komórek na zwierzęta.

Dookoła tłumy.

Podemną i nademną, w łożach i na zwyczajnych, pokrytych czemś bardzo prymitywnem, deskach, siedzą i stoją, chwytają w lot programy i afisze, gestykulują i krzyczą z namiętnością i życiem dzieci południa.

Jak na olbrzymią ilość zebranych (jest ich tu 14.000), kobiet dostrzegam stosunkowo niewiele, ale są, wesołe i ożywione, w zajęciu ogólnem biorą czynny udział.

Nawet dzieci nie brak.

Tam, po przeciwległej stronie, snuje ich się cała gromada, niezawodnie uczniowie ze szkół, a tuż obok małe niemowlę na kolanach matki podskakuje wesoło, śmiejąc się, jak gdyby za chwilę ujrzeć miało karmelki, nie śmierć.

Tłum rusza się, ciśnie ku barjerom, krzyczy.

Oczy wszystkich kierują się w jedną stronę: w stronę komórki, gdzie najspokojniej być może oczekują swojego losu byki.

Widziałem je dziś o godz. 10-ej zrana na podwórcu cyrkowym, przyglądałem się z uwagą ich maści, rogom i wymiarom.

Było ich tam, jak zwykle, sześć razem.

Trzy czarne, dwa kasztanowate, jeden siwy.

Żuły sobie swój pokarm, lub przechadzały się, patrząc bez lęku na przyglądających się im zebranych.

Obok nich bawiła się najspokojniej mała dziewczynka, żadnemu z nich myśl nawet nie przyszła przeszkodzić jej zabawie.

Spoglądając na nie, miałem przed sobą obraz jakiejś sielanki.

Nic nie zapowiadało mi tragedji krwawej.

Słońce przyświecało pogodnie, myślało się nie o krwi, nie o rzezi, raczej oczekiwało się tego, ażali z ukrycia nie ukarze się pastuszek kastylski i na fujarce nie wyśpiewa komuś bardzo drogiemu piosenki o szczęściu, pokoju i miłości.

Teraz, kiedy patrzę na te tłumy w cyrku, nie myślę już o tem.

Sen złoty prysnął, pozostała rzeczywistość.

Czuję coś okropnego w powietrzu— zapach krwi.

Mówią mi o tem te krzyki, te błyszczące kobiet spojrzenia, ta gorączkowa żądza czegoś nadzwyczajnego, malująca się na twarzach wszystkich.

Dreszcz mi przechodzi całe ciało, bo wspominam cyrki rzymskie, uczucie wstrętu owłada moją duszą, bo przewiduję i tu coś podobnego.

I żałuję, żem tu przybył, i gniewam się na samego siebie, i wyrzucam sobie ciekawość, która aż w takie miejsce mnie przyprowadziła.

I chciałbym stąd wyjść, ukryć się przed tą krwi pożądliwą czernią, zamknąć w samotności, osnuć pogodniejszemi myślami.

Ale oto rozlega się dzwonek.

Roztwierają się podwoje cyrkowe, w progi areny przy dźwiękach muzyki wstępuje kilkanaście osób.

Na koniach i pieszo, w kostjumach jaskrawych i pstrych, jak arlekini lub rycerze z pod ciemnej gwiazdy, okrążają oni cały cyrk, wreszcie przybliżywszy się ku loży naczelnika miasta, oddają mu głęboki pokłon.

Kto oni? Bohaterzy uroczystości, aktorzy mających się odbyć niezadługo scen, być nawet może przyszłe ofiary, stojące już na wieczności progu.

I znowu cyrk rzymski staje mi na pamięci, i zdaję się widzieć tych gla-

djatorów starożytności, co to zanim poszli ginąć, przed cesarzem uniżali czoła w proch, z kornie spuszczonem obliczem wołając niewolniczo: „Witaj Imperatorze, mający umrzeć pozdrawiają cię".

„Witaj naczelniku wielkiego państwa stołecznego grodu, ci, których życie chwila jedna zdmuchnąć może jak świecę wiatr, kłaniają ci się w pokorze".

Ale oto muzyka głuchnie. Część przybyłych wychodzi drzwiami, któremi weszła, pozostaje kilku rycerzy na koniach i kilku pieszych, snujących się przy nich. Rycerze konni mają piki w rękach, piesi różnokolorowe płachty.

Rozlega się sygnał.

Roztwierają się żelazne wrota — na arenę wpada byk...

Rycerze konni i piesi przysuwają się lękliwie ku barjerze, oczy wszystkich zwracają się w stronę zwierzęcia.

Byk wpadł gwałtownie, dobiegł do połowy areny i stanął.

Stanął i przed siebie spojrzał.

Nie poznałem go, tak się odmienił.

Rano, gdym mu się na podwórcu cyrkowym przyglądał, przechadzał się spokojnie, podnosząc obojętnie oczy ku stojącym tuż przy nim tłumom.

Teraz w jego oczach było piekło.

Snać zanim go na arenę wypuszczono, drażniono się z nim, by w nim wściekłość obudzić, snać w obawie, by nie skompromitował wobec tych tysięcy rodzaju, którego był jednym z przedstawicieli, sztucznie spotęgowano jego srogość.

Więc spoglądał przed siebie dziko, ale stał, jak gdyby urzeczony tym zgiełkiem, jak gdyby mimo siłę swoją i dzikość uląkł się tych dookoła tłumów.

Oklaski i nieludzkie okrzyki, jakiemi go przyjęto, zdawały się go ogłuszać, nie widział nigdy tylu ludzi przed sobą, hałas taki nie obijał się nigdy o jego uszy, więc choć przy barjerze miał gromadę konnych i pieszych, nie ruszył ku nim, lecz stał w środku cyrku, kopytem bijąc w piasek i patrzał.

Trzeba go było wyprowadzić z granic cierpliwości.

Podsunęli się ku niemu ludzie z płachtami konni rycerze zaczęli mu pikami grozić.

Byk stał ciągle.

Wtedy jeden z pieszych podniósł płachtę do góry, pika błysnęła w powietrzu, i dotknęła skóry zwierzęcia.

Kości wojny zosłały rzucone...

Byk nachylił swój żylasty kark, poskoczył ku drażniącemu go, ale ten uchyliwszy się w bok zręcznie, cios odbił.

Rogi zwierzęcia uderzyły nie w przeciwnika, lecz w jego płachtę.

Zawstydzony, nienasycony zemstą, podrażniony wreszcie do żywego, zaczął on wtedy wyszukiwać dookoła ofiar.

Właśnie koń ku niemu podjechał —jedna chwila, i wraz ze swym jeźdźcem potężnem uderzeniem w brzuch został powalony na ziemię.

Krew się polała, byk zaczerwieniony przód łba i rogi uniósł tryumfujące ku górze, w powietrzu mignęły znowu kolorowe płachty, mające na celu odciągnięcie zwierzęcia od leżącego ciągle pod koniem jeźdźca, któremu zagrażała śmierć.

Zdawało się, że tego już dosyć, że widzowie poprzestać na tem powinni. Ale nieubłagani żądali oni silniejszych o wiele wrażeń.

Ku rannemu koniowi podskoczyło kilku ludzi, biciem zmuszono go by powstał, i ukazał się zebranym obraz pełen okropności i zgrozy.

Oto miał on w dwóch miejscach nie już przedziurawiony, ale przedarty brzuch, zakrwawione wnętrzności wydostawały mu się na zewnątrz. Mimo, że z sił opadał, mimo, że jedną nogą był już w grobie, musiał zniewolony biciem pod swoim jeźdźcem z zasłoniętemi oczyma podjechać poraz drugi ku bykowi, i poraz drugi otrzymać od niego śmiertelny już na szczęście cios.

Teraz zagotowało się wśród tych tysięcy.

Atmosfera sali była już podniecona, widok krwi zrobił swoje.

Na piasku walało się już kilka trupów końskich, ale ten który był sprawcą ich śmierci stał nietknięty.

Podrażniony, ale cały, krwią umazany, ale nieswoją.

A przecież nie po to z dalekich pastwisk andaluzyjskich do Madrytu go sprowadzono.

Przygnany wolą tych tłumów przybył tu, by wobec nich zginąć, by zanim zginie przejść całe piekło cierpienia, by cierpiąc i konając grać na ich nieczułych nerwach.

Przyszedł, by śmiercią swoją dał świadectwo ich zdziczeniu, by przekonał, do czego zdolnym może być człowiek, kiedy stłumi w sobie uczucie litości, serce przemieni w głaz.

Więc postąpili ku niemu inni ludzie.

Każdy z nich trzymał w ręku dwa długie pręty, silnym hakiem żelaznym zakończone i ustawiwszy się wprost niego drażnił wyzywając ku sobie.

Byk zrazu nie zrozumiał, o co im chodzi.

Jak gdyby dosyć było mu już tych trupów końskich, jak gdyby nie pragnął już więcej ofiar, wlepił w najbliższego siebie człowieka swe wielkie oczy i spoglądał na niego bez ruchu.

Spoglądał powiem nawet rozumnie, bez porównania z większą godnością od niego.

Może myślał w tej chwili o tych uroczych pastwiskach andaluzyjskich, z którymi go tu nie wiedzieć po co sprowadzono, może o towarzyszach, z których się dopiero co rozstał.

A może, może i o tem także, czego od niego chcą ci ludzie, przepełniający te loże i galerje, i jaki rozumny cel zgromadził ich tylu dokoła niego, ożywionych, niespokojnych, zgorączkowanych.

Ale trzymający w rękach żelazne pręty drażnili go wciąż.

Drażnili okiem i gestami, jakgdyby mu wyrzucali jego tchórzostwo, jakgdyby powątpiewali o jego sile.

O jego sile!...

Czyż te porozdzierane ciała końkie dokoła, nie były jej wymownem świadectwem?

Więc pochylił znowu rogi, i rzucił się na najbliższego pragnąc go przebić.

Ale pod wpływem szalonego bólu cofnął się.

Pręty utkwiły w jego karku, człowiek zręcznie odskoczył w bok.

Wtedy podsunął się ku niemu inny.

Znowu ta sama okropna scena, to samo wyzywanie, to samo uderzenie rogami i ten sam skutek.

Byk już cały broczył we krwi.

Pręty zaopatrzone hakami utkwiły głęboko w jego ciele, sądząc że się ich pozbędzie potrząsał niemi nieszczęsny, ale im bardziej gorączkowe były jego ruchy, tem głębiej zanurzały się one w nim.

Wtedy zrozumiał, o co im chodzi.

Przeczuł swój wyrok i poddał mu się bez oporu.

Ryczał i piasek jeszcze kopytem ku górze podrzucał, nieczuły już był przecież na drażnienia płachtami.

Za wiele było męczarni jego, opadł już z sił.

Zwyciężyłeś człowieku! zdawał się gasnącemi oczami mówić, cześć ci i chwała, zwyciężyłeś tem, co jest dowodem twojego zezwierzęcenia, co cię stawia ode mnie niżej.

Więc kiedy podszedł ku niemu inny już człowiek ze szpadą by mu ostatni zadać cios, przyjął go jak gdyby z rezygnacją.

Zdał się pragnąć pogrążenia w nicości, czekać końca.

Usiłował jeszcze parę razy doświadczyć mdlejącej siły swoich rogów, zniżał kark to go znowu ku górze unosił, wreszcie dotknięty szpadą w samo serce, padł na przednie nogi, konwulsyjnie wyprężył wszystkie członki, i skonał.

W tłumie ozwały się radosne okrzyki.

Wszystkie ręce podniosły się do oklasku, w oczach wszystkich, nawet w tych, które promieniować zawsze powinny miłosierdziem i sercem, zabłysnął dziki ogień, muzyka zaintono-

wała marsza triumfalnego, z lóż i galeryj na arenę posypały się kapelusze i chustki.

Akt jeden widowiska się skończył.

Wtedy wjechały na arenę muły, zabitego, za słabo mówię, zamordowanego w sposób nieludzki byka wywlekli po za bramę.

Oczekiwano z niecierpliwością aktu drugiego.

W zabarykadowanej komórce stało jeszcze pięć byków.

. . . .

Coś strasznego rzeczywiście, coś co opisać się tylko bardzo niedokładnie daje, coś takiego, co wstrząsa i przeraża, oburza i przejmuje zgrozą.

Chociaż wiedziałeś, idąc tu, co cię czeka, nie przewidywałeś jednak tego.

Czułeś, że patrzeć będziesz na śmierć, sądziłeś przecież, że przyjdzie tu ona na skazaną na nią ofiarę prędko, błyskawicznie, jak piorun.

Spotkałeś co innego.

Wiwisekcja odbywała się powoli w twoich oczach, skalpowano zdawało się całe wieki z lodowatą obojętnością żyjące i czujące istoty, popisywano się, jakgdyby bez końca okrucieństwem i zdziczeniem.

I niestety nie na arenie tylko.

Ci w tym cyrku dokoła ludzie nie byli zwykłymi widzami. Nie mniejszy od aktorów strasznego widowiska brali oni w niem udział, ba! byli nawet sami aktorami.

Kiedy jeden z następnych byków, pomimo drażnienia, nie chciał się długo rzucić na nadstawiającego się pod jego rogi konia, usłyszałem dookoła siebie s t r a s z n y o k r z y k: „ognia, ognia“! Tym, z ust których lekko okrzyk ten wybiegł, nie dosyć było żelaza, za mało krwi toczyło się w ich oczach, domagali się więc ognistych petard, by te, pękając w ciele zwierzęcia i rwąc je na sztuki, zniewoliły je, by lepiej dla ich uciechy odgrywało swoją rolę. Mordowali więc właściwie nie tamci, ale oni, te kobiety i ci mężczyźni tuż przy mnie, oni byli właściwymi sprawcami rzezi.

I spoglądało się z oburzeniem nie na tamtych, lecz na tych, bo dla ich uciechy, kwoli ich szatańskim gustom lała się tam krew.

I były chwile, że to oburzenie na nich domagało się w mojem sumieniu kary, że pragnąłem niemal, aby rozwścieczony byk przesadził tę odgradzającą go od nich barjerę, wywołał pomiędzy nimi straszny popłoch, przyprawił ich naturalnie nie o śmierć (ludźmiż bo oni niestety na wstyd ludziom byli), ale o obawę śmierci, aby ich przeraził, a przeraziwszy oduczył ich zwierzęcości.

Były takie chwile...

Jakichże to tam chwil nie było.

„I nie tyle (jak Mickiewicz powiada), przejdzie uczuć przez duszę w rozpaczy”—ile ich wtedy przeszło przez moją duszę, nieznieczuloną działaniem tego okropnego haszyszu.

Powtarzam, coś strasznego rzeczywiście.

Opuszczam cyrk smutny, złamany, przybity i zgnębiony.

Mam wstręt do ludzi i wstydzę się za ludzi.

Nie chcę myśleć o ich szlachetnych poświęceniach i w pogoni za ideałem wysiłkach, o ich zasługach dla cywilizacji, o ich wielkiej miłości dobrego i szlachetnego, niekiedy o ich poświęceniu...

Myślę o tem, dokąd zajść oni mogą, gdy rozbudzą w sobie instynkty, które w nich wiecznie drzemać powinny, gdy natura zwierzęca przytłumi w nich naturę boską, gdy poczną pełzać w błocie dzikich żądz.

Myśli się, i dreszcz przechodzi ciało, bo się wie, że wszystkie szatańskie triumfy i uściski, w podobnem źródle początek miewają.

Bo jeśli wiara, jak ktoś słusznie powiedział, jest kwiatem życia, i kiedy ona zniknie, wtedy życie powabu jest pozbawione, to serce jest regulatorem pochodu człowieczeństwa naprzód, i skoro ono w kamień się obróci, skazówka na zegarze duchowego pochodu świata zatrzymać się na wieki w swoim pochodzie musi.

K O N I E C.

obóz przysposobienia wojskowego wyłącznie dla harcerzy. Z przeszło 200 zgłoszonych tylko 138 zjawiło się... A co o tem mówi prawo harcerskie?

W innych obozach p. w. było sporo harcerzy, gdzieniegdzie np. w Lubiźni pod Delatynem wydzielono ich w osobny obóz. Cieszyli się tam dobrą opinją, a opiekę ze strony przełożonych wojskowych mieli doskonałą. Szkoda tylko, że znalazła się grupka takich „harcerzy", która wyparła się krzyża i Z. H. P. i nie chciała pójść do obozu harcerskiego.

Drużyny powinny się wyzbyć takich ananasów.

„ważnych" — i mimo ostrzeżeń zawsze się znajdzie taki naiwny, który da się naciągnąć.

Pamiętajcie: 1) wizytatorzy harcerscy mają imienne legitymacje z fotografjami lub ważne tylko z inną legitymacją, z fotografją, 2) wizytatorzy, mający prawo odbierania pieniędzy, posiadają na to osobne upoważnienie, 3) jeżeli ktoś z mniejszych władz nie zna osobiście podającego się za wizytatora, należy zawsze być ostrożnym, domagać się zupełnie dokładnego wylegitymowania, mając na uwadze i to, że oszuści występują z legitymacjami sfałszowanemi.

II Zawody Związkowe—Nadkole.

Dwudziestka Warszawska uzyskała trzecie miejsce.



Obóz dwudziestki Warszawskiej „Łazik" z słynnemi osłami.

Fot. St. Sedlaczek.

Fałszywy wizytator.

Włóczy się po Polsce „przemysłowiec" z pod ciemnej gwiazdy — podobno nazywa się Caba, ale występuje najczęściej jako... Grzymałowski, udając sekretarza generalnego (doczekałeś się, kochany Lusiu-Foko Grzymała). Ten oszust „wizytuje" drużyny, odbiera raporty, a chętniej jeszcze... opłaty. „Nabrał" już kilkanaście osób, w tem kilku

O nasze imiona harcerskie.

Imię harcerskie jest własnością tego, kto je pierwszy przybrał lub otrzymał.

Nie należy więc przybierać imion już używanych. Wiedzcie więc, że jest tylko jeden prawdziwy Arcykot, a inne koty muszą już z „Arcy" zrezygnować, jeśli nie chcą, by je podrapał

Arcykot.

POPIERAJMY POLSKI PRZEMYSŁ i HANDEL.

Znacie odezwę Naczelnictwa o niewyjeżdżaniu zagranicę i powstrzymaniu się od kupowania obcych wyrobów. Trzeba na tę odezwę czynem odpowiedzieć. Starajcie się wszelkie wyroby obce zastąpić polskiemi. Zorganizujcie Komitety Popierania Przemysłu i Handlu Polskiego. Przygotujcie napisy odpowiednie i umieszczajcie je w widocznych miejscach. Niech walka o rozwój gospodarczy Polski stanie się zbiorowym dobrym uczynkiem Harcerstwa.

OBÓZ STARSZYZNY CHORĄGWI LWOWSKIEJ

Worochta 1925.



Ćwiczenia w szkicowaniu

Fot. St. Sedlaczek.

Nasze lato

tegoroczne obfite było w obozy i wycieczki. Już z góry cieszy się redaktor z opowiadań, fotografij i szkiców, które mu zaraz po powrocie z wędrówek i z pod namiotów z najróżniejszych okolic Rzeczypospolitej zaczniecie nadsyłać. Najważniejszem zdarzeniem, które powinno było zainteresować wszystkie drużyny — były.

Zawody Związkowe

w Nadkolu pod Łochowem; szkoda, że tylko sześć drużyn stanęło do nich. Oto co pisze o zawodach Szumiący Dąb:

„Śmiało powiedzieć trzeba, że nigdy jesz-

cze w Polsce tak doskonałego obozu nie widziano! Naprawdę wyzyskano doświadczenia zeszłorocznych zlotów — warszawskiego i kopenhaskiego — i stworzono całość, imponującą ładem, rozmaitością, pomysłowością i duchem harcerskiej pogody i swobody przy całej karności i niezawsze łatwem naginaniu się do różnorakich wymagań poszczególnych konkursów.

Zastosowano różne typy namiotów, nadano obozom drużyn rozmaity, a zawsze logiczny kształt, pobudowano pomysłowe altanki, urządzono opodal na zboczu kuchnie, przeprowadzono wygodne dróżki, założono klombiki, ustawiono maszty sztandarowe, bramy wejścia do każdego obozu; tu zegar słoneczny, ówdzie wodotrysk, któremu ciśnienia i wody dostarcza beczka umieszczona wsród konarów drzewa, gdzieindziej huśtawka, na drzewie umocowana. Największą bodaj osobliwością była para osiołków warszawskiej „Dwudziestki", zaprzęgana do znanego z zeszłorocznej wyprawy duńskiej pomysłowego wózka—„Łazika", na którym przywieziono inwentarz drużyny i którego używano do wożenia produktów, drzewa i t. p.

Prawie wszystkie drużyny przybyły z obozów i wycieczek ogorzałe, zahartowane i pogodne mimo słotnego czasu. Przebieg zawodów świadczył dosadnie, że dla harcerzy słota nie jest żadną ważną przeszkodą w sprawnem i wesołem życiu obozowem.

Komendę obozu sprawował druh Mieczysław Dybczyński, który też był właściwym organizatorem pracy sędziowskiej. Grono sędziów prócz niego stanowili — Naczelnik G. K. St. Sedlaczek, K. Byczyński, P. Stabrowski, T. Strumiłło i J. Trzpil.

Podczas zwykłych, codziennych zajęć obozowych — rannego wstawania, mycia i kąpieli w Liwcu, porządków, posiłków, zajęć, zabaw czy wypoczynku — snuli się po obozie sędziowie, zważając na wszystkie szczegóły zachowania się młodzieży.

Różne drużyny przodowały pod rozmaitemi względami. Mistrz dotychczasowy — Warszawska 13-tka trzymała prym w dziesięcioboju, wycieczce, śpiewach i pokazach, Warszawska 20-tka najszybciej obóz rozbiła i zwyciężyła w pływaniu (nie dziw — bo to drużyna „żeglarska"); od początku podziw i uznanie zdobyła wyrobieniem ogólnem i obozowem 4 Bydgoska, która nadto zdobyła pierwszeństwo w biegu z przeszkodami i w tańcach.

Pierwszeństwo i nagrodę Druha Prezydenta na ten rok zdobyła IV Bydgoska im. Kilińskiego—punktów 409; drugie miejsce XIII Warszawska im. Sułkowskiego — punktów 321, trzecie XX Warszawska im. Małkowskiego — punktów 257, dalej idą XV Poznańska i XXXIX Warszawska.

Dziadzio Baden-Powell łapie ryby.



MIECZYSŁAW DYBCZYŃSKI.

Abecadło „księgi tropu".

Tłumaczenie z francuskiego.
(Le Journal des Eclaireurs № 7 1-er avril 1925).

Mój bracie skaucie! Myśląc o Indjanach, naszych niezrównanych mistrzach w tej sztuce, marzyłeś czasem bez wątpienia, widząc odciski na ziemi, by móc samemu przeczytać i zrozumieć scenę, o której te odciski świadczą, poznać wszystkie osoby, powiązać działania, odtworzyć wszystkie szczegóły i przez mądre wnioskowanie spróbować zbadać pobudki. I przy tym obrazie uniesiony entuzjazmem, żądny natychmiastowych doświadczeń, czyś nie próbował natychmiast czytać urywków z „Księgi tropu".

Lecz, ślęcząc nad książką, mimo twych wysiłków i dobrej woli, nie mogłeś wykraść sekretu. Książka pozostaje dla ciebie nieprzeniknioną, jak dla analfabety kartka papieru, pokryta małemi czarnemi, znaczkami, których on nie rozumie. Tak samo różne pomięszane znaki, znajdujące się przed twemi oczyma, pozostają dla cię zagadką. Ty, jak analfabeta, próbujesz czytać, nie nauczywszy się tego uprzednio.

Czytanie śladów wymaga doprawdy nauki poważnej a ponadto bardzo pociągającej. Nie jest to nauka odstręczająca, przeciwnie—jedna z takich, do których się coraz bardziej zapala. Jak rozpocząć tę naukę? Właśnie chcę ci to pokazać poniżej.

Zacznijmy od śladów ludzkich. Odciski, pozostawiane przez nogę obutą wyraźnie odbijają się w piasku, ziemi gliniastej i na błocie.

Rozróżniamy wyraźnie ślad gwoździ, gumowego obcasa, kształt obuwia, wielkość, co pozwala ustalić z łatwością płeć i przybliżony wiek (młodzieniec czy dziecko) właściciela obserwowanych odcisków.

Będziesz mógł również odróżnić mieszczucha w eleganckiem obuwiu od wieśniaka w podkutych butach lub drewniakach. Z łatwością się znajdzie, naprzykład, na drodze trop, zrobiony przez powtarzające się te same ślady. Trop ten swoją drogą winien ci dostarczyć cennych wskazówek. Z tropu człowieka, to jest z głębokości odcisku, wielkości stopy i długości kroku możesz w pewnej mierze wywnioskować o jego wzroście i wadze, ustalić wiek—twoja laska z podziałką centymetrową odda ci cenne usługi. Następnie obserwacja tropu przyniesie ci jeszcze inne szczegóły. Przedewszystkiem odszukaj „kierunek marszu", jest to linja, dzieląca kroki obydwu nóg, nachylenie stopy w stosunku do tej linji nazywamy „kątem kroku". Im osoba jest cięższa lub bardziej obładowana, tem kąt jest większy: oparcie się i równowaga jest wtedy pewniejsza. Starcy mają również kąt kroku bardzo duży, lecz kroki ich są krótsze.

Tropy często są poplątane i trudne do badania. W tym trudnym wypadku wystarczy uważać bardzo na każdy odcisk, obserwować go i notować wszystkie szczegóły, kształt obuwia, podeszwy i obcasa, części znoszone, gwoździe. Zresztą i inne znaki, nie tylko same odciski stopy mogą również ułatwić poszukiwania. Ślad laski, naprzykład, towarzyszący ciągle tym samym krokom, pozwoli nie żywić najmniejszego wahania. Co więcej, te dodatkowe ślady po-

mogą ustalić rodzaj tropionej osoby. Starzec opiera silnie o ziemię swoją laskę, a młody człowiek dotyka laską ziemi, stawiając lewą nogę. Jeżeli zaś macha laską w powietrzu przed postawieniem jej na ziemię—znajdziemy ślad, naprzykład, co dwa kroki. Sam rozmiar wgłębienia, zrobionego przez koniec, pozwoli poznać, czy chodzi tu o laskę, czy też parasol.

Oto pierwsza praca, której się trzeba podjąć: poznawać kroki i tropić ślad. Będąc dobrze wyrobionym w tem pierwszem ćwiczeniu, będziesz mógł zebrać inne obserwacje, które ci dopomogą w twych wnioskach. Będziesz więc starał się zauważyć, czy spotykane ślady są świeże, czy stare. Jeżeli to są stare — będą one nawpół zatarte, pokryte innemi, lub miejscami zupełnie starte z powodu złej pogody. Jeżeli więc będzie ci się zdawało, że ślady są starte przez deszcz — powinieneś cofnąć się myślą wstecz i spróbować przypomnieć sobie, kiedy była ostatnia ulewa.

Wiele innych drobnych obserwacyj w tym rodzaju pomoże ci ustalić możliwie dokładnie przypuszczalny dzień i godzinę sceny, którą starasz się odtworzyć

Zobaczymy to w następnym artykule.

Ćwicz się poważnie w ustalaniu tożsamości i tropieniu prostych, łatwych śladów, należy byś wyrobił się w poznawaniu szybkiem na drodze, gdzie różne odciski plączą ślad, pozostawiany przez tego samego osobnika. Co lepsza, wystudjuj swój własny trop. To ci wiele pomoże, gdyż, wiedząc jakie są twe prawdziwe ruchy i gesty, bezwiednie będziesz sprostowywał siebie w wnioskach nieco urojonych przez wspomnienie na wnioski o własnych śladach.

Byłoby dobrze, gdybyś urządził sobie „trackdrome"—ćwiczebne pole do śladu. Chodzi tu o kilka metrów kwadratowych terenu, naprzykład kącik w ogrodzie, starannie zgracowany, na którym mógłbyś robić dowoli odciski, które będziesz chciał wystudjować.

Zacznij od zrobienia tropu, który zostawiasz za sobą, idąc oczywiście zwykłym swym krokiem. Zmierz swój kąt kroku, odstęp obu stóp, długość kroku. Zanotuj to wszystko starannie, zrób szkic z tego pierwszego tropu ze wskazaniem pomiarów. Poza ciągłem wykorzystywaniem dokładnej znajomości swego kroku dla różnych celów, jak naprzykład zmierzenia odległości, będziesz mógł ponadto robić porównania z innemi tropami, których identyczność zechcesz sprawdzić.

Potem, oprócz chodu, zbadaj ślady, które pozostawiasz w biegu i notuj zawsze starannie rezultaty swych obserwacyj. Zauważysz, że prawie zawsze biegnący stawia na ziemię tylko końce palców, na śladzie więc biegnącego nie zobaczymy pięt. Obydwie stopy są daleko bardziej zbliżone do linji kierunku marszu, kąt kroku prawie nie istnieje, odległość między dwoma krokami jest daleko większa.

Będziesz mógł również zaznaczyć ślad, udając chromanie. Odciski, pozostawione przez kulawego, mogą być bardzo rozmaite. Tak więc ranny w nogę, nie mogąc jej zgiąć w kolanie, musi ją odrazu całą przemieścić, dosyć ciężko opierając ją o ziemię. Odcisk stopy tej nogi wyciśnie się daleko mocniej, niż odcisk drugiej. Ponadto, z powodu pewnego utykania, spowodowanego przez brak giętkości w rannej nodze, kąt, utworzony przez stopę z linją kierunku marszu, będzie większy z tej strony. Jeżeli przeciwnie, chromanie jest spowodowane przez nogę w drgawkach (taniec św. Wita), chora noga zosta-

wia odcisk niewyraźny. Naogół zauważymy tylko ślad końca stopy, obcas nie dotyka ziemi. Jeżeli zaś chora stopa jest włóczona po ziemi, nie mogąc być podnoszoną przez zbyt słabą nogę — odcisk przedstawi się jako długa smuga, bardzo wyraźna na kurzu, a zaledwie widoczna na gruncie nieco twardszym. Krok osoby, cierpiącej na podobną ułomność, jest naogół nieco przyspieszony, lub przynajmniej kroki są liczniejsze i krótsze. W większości wypadków śladom nóg kulawego towarzyszy ślad laski, którą sobie pomaga w chodzie.

Możesz uzupełnić swe zbiory, szkicując ślad swych bosych stóp. Spotykamy stosunkowo rzadko tropy nóg bosych, wyjąwszy brzegi morza, gdzie kąpiący się chodzą często boso na plażę.

Dobrze jest umieć poznawać różne odciski, pozostawiane przez ludzką stopę. Istnieje stopa płaska, która nie wykazuje żadnej krzywizny podeszwy stopy, pozatem jest stopa lekko wygięta, stopa wyraźnie wygięta i stopa bardzo wygięta. By dobrze określić obserwowaną stopę, należy poznać położenie palców. Palce mogą być bardzo oddzielone jedne od drugich, lub bardzo ściśnięte, lub zachodzące jedne na drugie.

By dokładnie tropić ślad, trzeba zanotować położenie innych palców w stosunku do prostej, przeprowadzonej od końca drugiego palca stopy do końca ostatniego. Wszyscy różnią się odmiennem położeniem palców nóg.

Oto pierwsza dosyć długa „lekcja czytania". Mój bracie skaucie, jeżeli ta „książka" cię interesuje i jeżeli sumiennie wtajemniczysz się w jej pierwsze sekrety, w najbliższym numerze będziemy mogli „odwrócić kartkę".

Pomyślnych łowów!

Słońce a opady deszczowe.

Dawno już podejrzewano, że istnieje pewna łączność pomiędzy opadami deszczowemi, a językami ognistemi, wyrzucanemi z promieniami słońca. W roku zeszłym C. Brooke, jeden z najpoważniejszych badaczy zjawisk atmosferycznych, ustalił fakt sprowadzania gwałtownych ulew przez słońce.

Komentując analizę gwałtownych deszczów na wyspach Brytyńskich, przez ostatnie 54 lata, C. Brooke, twierdzi, iż okresy fluktuacyj w ulewach, prawie ściśle odpowiadają okresom fluktuacy jpromieni słonecznych.

Promienie słoneczne dochodzą do największego napięcia w pewnych stałych okresach. Tak, między 1875 a 1892 r. przeciętnie przerwy stanowiły 3½ lat. Od 1892 do 1900 r. — 3 lata; od 1904 zaś do 1914—2½ lat. Nie posiadamy przeciętnych, z okresów największych opadów deszczowych, odpowiadających wyżej wspomnianym szeregom lat; jednak te dwa okresy dla słonecznych promieni i deszczowych opadów są nadzwyczaj charakterystyczne i posiadają szczególne znaczenie. Tak niezwykle mokry rok przypadał co piąty rok w czasie między 1868 a 1882, co trzeci rok w czasie między 1889 a 1909, między zaś 1910 r. a obecnym, co drugi rok.

Trudnem jest do zbadania, dlaczego promienie słoneczne miałyby

bezpośrednio oddziaływać na opady deszczowe w Brytanji; lecz uczeni obecnie badają ten przedmiot i istnieje możliwość, że już zdobyte w tym kierunku wiadomości doprowadzą kiedyś do stawiania pewniejszych horoskopów atmosferycznych.

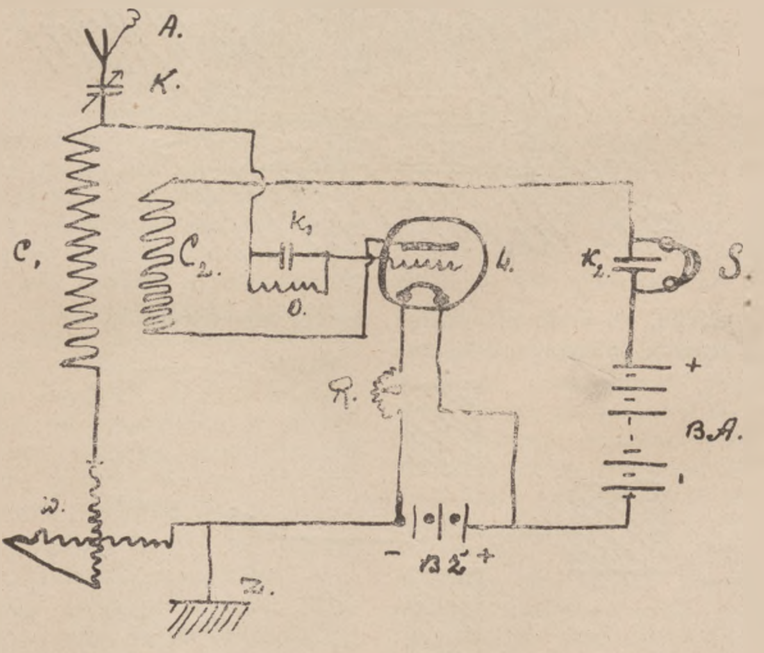
Wspomnianych emanacji słonecznych, nie należy utożsamiać z plamami słonecznemi; co do których również istniało przypuszczenie, iż mają pewien związek ze zmianami atmosferycznemi na ziemi.

Emanacje słoneczne są to wielkie płomienie gazu, wystrzeliwujące z ponad powierzchni słońca, do wysokości zmiennej od 10,000 do 45,000 mil. ang. licząc po 130 mil. ang. na sekundę.

Jasnem się staje, że istnieje pewien związek między emanacjami słońca, a plamami tegoż, ponieważ jedne i drugie osiągają najwyższe napięcie i spadają do najmniejszego w tych samych okresach czasu.

Zdaje się, iż planety słoneczne, wybuchy płomieni i angielskie opady deszczowe pozostają w pewnym wzajemnym związku i bez wątpienia nauka wkrótce odkryje, jaki jest ten związek.

Radjo i jego zastosowanie.



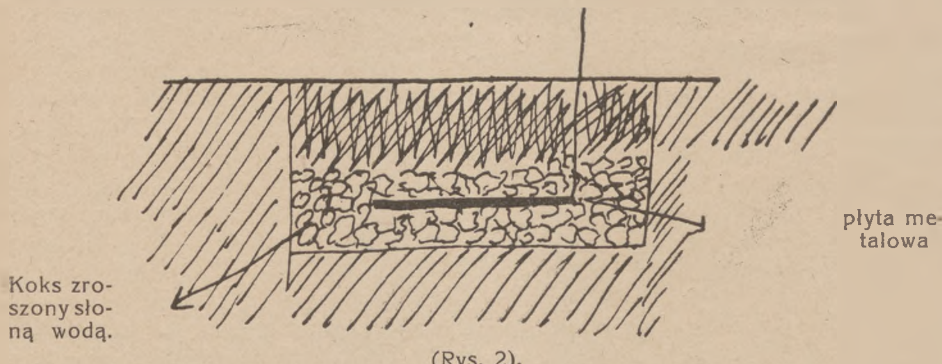
Radjozbiornik obozowy. Rys. 1.

Czy też znalazła się drużyna, która jadąc na tegoroczne obozy, zaopatrzyła się w mały odbiorczy radjoaparat, dzięki któremu, mogła co wieczór słuchać koncertów. Jeśli tak zrobiła, to niewątpliwie szczególnie podczas słoty miała niemałą przyjemność, a może i Druh „Mahomet" zaliczy taki obóz do kategorji „A", skoro dowie się, że drużyna na obozie miała takie rzeczy, które dotąd nie figurują nawet w liczbie pożądanych warunków w ogłoszonych normach dla obozów harcerskich.

Objaśnienie: C_1 — cewka, plecie się jak dno koszyka, ma 12 mtr. drutu izolowanego o średnicy 5 — 7 mm.; C_2 — cewka, także robiona, tylko ma mniej zwoi, mianowicie 8 mtr takiegoż drutu; K—kondensator obrotowy, o pojemności 150—60 cm.; W—warjometr dowolny; K_1 — kondensator stały, 250 cm., 0 — opór granitowy 2 mg.; 1—lampa; R—opornik żarzenia; K_2—kondensator stały 0,002 mikrofaradu; S — słuchawki o oporze najmniej 4000-om; BŻ—Baterja żarzenia AB—Baterja anodowa; A—antena; Z—ziemia.

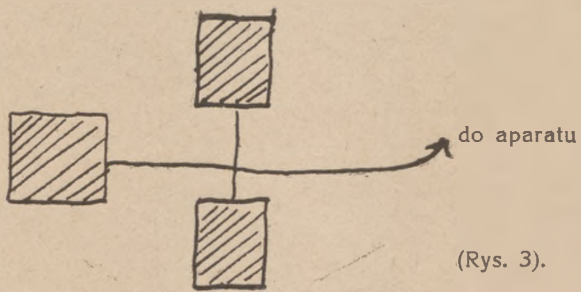
Uziemnienie.

Doprowadzenie „ziemi" do aparatu (wyrażenie fachowe!), powinno być jak najkrótsze, drut mniej więcej o średnicy 1,5 mm. Jeżeli gleba w miejscu gdzie chcemy zainstalować aparat, jest bardzo wilgotna, wystarczy zakopać na głębokości 1 metra płytę cynkową (50 × 60 cm.), lub miedzianą, a drut bezwarunkowo przylutować. Gdy mamy ziemię mniej wilgotną, musimy taką płytę umieszczać między warstwami koksu i co pewien czas polewać słoną wodą (rys. 2). Jeżeli zaś



(Rys. 2).

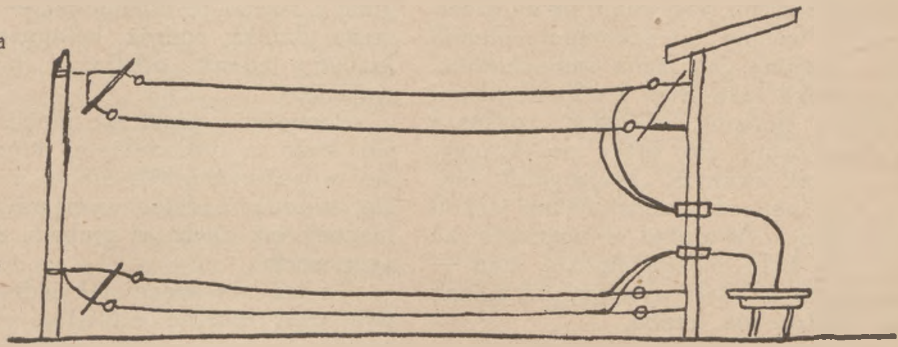
gleba jest sucha, to ilość płyt zwiększamy do trzech, razem ze sobą połączonych—(Rys. 3).



(Rys. 3).

W końcu, jeżeli mamy piaski, i to suche, używa się „przeciwwagi“. Przeciwwaga jest tak samo zbudowana jak antena, rozpięta zaś jest na wysokości 50 cm. od ziemi, pod, oraz równolegle do anteny. — (Rys. 4).

Czuwaj!
L. M.
„Trzynastka“ z Warszawy.



(Rys. 4).

JASKINIA W KRZYWCZU.

Słysząc o licznych wycieczkach do wschodnich Karpat, chcę coś niecoś powiedzieć o jaskiniach we wschodniej połaci Małopolski, a mianowicie o jaskini w Krzywczu. W województwie Tarnopolskiem, wciśnięty w klin między jarem Zbrucza, a jarem Dniestru, leży powiat Borszczowski. Krzywcze, miasteczko tego powiatu, jest niezmiernie podupadłe: stanowi niemal wieś. Położone jest wysoko, nad jarem Cyganki. Dwa kilometry na południe od miasteczka, w górnej krawędzi jaru Cyganki, znajduje się wejście do jaskini. Klucze do niej znajdują się w urzędzie gminnym.

Oto jak opisuje wycieczkę do tej jaskini p. Mieczysław Orłowicz:

Do groty wchodzi się jak gdyby do studni, na dnie której znajduje się ukośna, ku dołowi nachylona szpara, długa na jakie 4 metry, a tak wąska, że jedynie w postaci leżącej, nogami naprzód, prześlizgnąć się tędy można. Gardziel ta, która daje przedsmak dalszej wędrówki, ma tę zaletę, że odstrasza zaraz na początku od zwiedzania jaskini ludzi słabych, bojaźliwych, a nie przepuszcza absolutnie otyłych.

Po przejściu owej szyi, można iść dalej na czworakach, puszczając za sobą sznur, uwiązany u wejścia, inaczej bowiem, orjentacja wśród mnóstwa korytarzy bocznych byłaby niemożebna. Czasem strop jaskini staje się tak niski, że na czworakach iść nie można; trzeba czołgać się na brzuchu, nie mogąc nawet podnieść głowy. Czołganie takie, przy którem jako środek lokomocji, służy brzuch, męczy niezmiernie. Jednym ruchem

brzucha posunąć się można zaledwie o 5 centymetrów, więc dla posunięcia się o metr, trzeba 20 ruchów. — Po przebyciu 5 metrów pot zalewa czoło, a wędrowiec jest tak wyczerpany, jak po wejściu na szczyt wysokiej góry. Naturalnie, że po przejściu każdej takiej gardzieli, posuwanie się na czworakach wydaje się lokomocją niemal tak wygodną, jak jazda samochodem. Wędrówka taka trwa z odpoczynkami półtorej godziny. Z jakąż rozkoszą wyprostowuje się każdy po jej upływie w tak zwanym „Magazynie“, małej hali, będącej przedsionkiem jaskini właściwej. Aż dotąd — wyprostować się nie było można nigdzie, stąd — korytarze są tak wysokie, że zginać się nigdzie nie trzeba.

Zaczyna się tu czarowny świat, jak z bajek tysiąca i jednej nocy; ściany wysokich, lecz bardzo wąskich przejść, których mnóstwo rozchodzi się na wsze strony, pokrywają tysiące kryształów gipsu ogromnej wielkości, poukładanych w róże, które nawet przy bladem świetle świec — mienią się wszystkiemi kolorami tęczy. Miejscami trafiają się większe komory, np. „Jadalnia“, „Grota Chmielnickiego“ talagmity wapienne spotykaliśmy jedynie w t. zw. „Grocie Adelsberskiej“; w tem też jedynie miejscu ze stropu jaskini kapie woda. W jaskini bawiliśmy 10 godzin, rozwinąwszy za sobą 11 zwojów szpagatu. Wreszcie szpagat się skończył, a końca jaskini nic jeszcze nie zapowiada. Wróciliśmy w przeświadczeniu, że nie udało się nam widzieć ani dziesiątej części jaskini, — lecz olśnieni tem, co widzieliśmy. Mimo jej piękności, niewielu ludzi zwiedzało do dziś jaskinię w Krzywczu. Wejście często zasypuje glina i trzeba je odkopywać — innych zraża daleka podróż kolejowa, większość jednak odstrasza męczące wejście.

Pomyśleć wprost nie można, coby się stało z człowiekiem, któremuby się w jaskini zrobiło słabo; trzebaby się wyrzec nadziei wyciągnięcia go inaczej jak chyba w grubym, skórzanym worku.

To też nie więcej jak jedna, dwie wycieczki rocznie odważają się zapuścić do wnętrza grot tajemniczych. Gdyby jednak przekopano wejście wprost do „Magazynu“, a jaskinię oświetlono elektrycznie, by jej nie zakopcać dymem świec i pochodni, krajowi przybyłaby pierwszorzędna atrakcja, wobec której kopalnie w Wieliczce wydałyby się ciemną piwnicą.“

Tak to opisuje nam tę grotę p. Orłowicz; jeżeli uda się któremu z druhów zwiedzić tę jaskinię, niechaj opowie nam swoje wrażenia.

Ciekawą też jest rzeczą, czy była tam już jaka wycieczka harcerska? Jeżeli nie — to która drużyna pierwsza tam się wybierze? Napiszcie!!!

Papcio.
„Trzynastak z Warszawy“.

LOTTO.

Nikt z nas nie może się chwalić, że zna gwiazdy, nim nie poświęci choć kilkunastu godzin ich obserwacji. Gra „lotto“ ma właśnie na celu lepsze orjentowanie się w konstelacjach.

Potrzebny materjał.

6 map nieba każda przedstawiająca 4 konstelacje (przypuszczamy że reszta nieba jest zakryta); razem mamy więc 24 różne konstelacje. Na

każdej z 6-u map jedna gwiazda odznaczona jest rozchodzącemi się kreseczkami.

Wyróżnienie to pochodzi stąd, że gwiazda ta wchodzi w grę niezależnie; konstelacja zaś, w której się znajduje, służy tylko do określenia jej położenia. Mamy więc 18 konstelacyj i 6 odznaczonych gwiazd, które bezpośrednio wchodzą w grę. Na 24 kartkach wypisujemy ich nazwy i wrzucamy je np. do kapelusza.

Sposób gry.

Mapy nieba rozdaje się uczestnikom gry. Jedna zaś osoba kolejno wyciąga kartki z kapelusza i głośno czyta wypisane na nich nazwy. Gracz, mający tę wywołaną konstelację lub gwiazdę na swej mapce, zabiera kartkę od wywołującego. W ten sposób postępuje się aż do rozdania wszystkich kartek.

Kary.

Żeby zabawa nie stała się monotonną, ustanawia się pewne prawidła gry. Np.: ostatniej kartki odbiorca musi za karę dawać 1 fant. Ktoś, kto nie upomniał się o należną kartkę, daje 2 fanty. Za nieprawne przywłaszczenie kartki trzeba dać 3 fanty i t. p. Następnie przy wykupywaniu fantów powstają nawet zabawy.

(UWAGA: Gra powyższa nie jest może należycie udoskonalona, toteż proszę, by ci wszyscy którzy wprowadzą jakieś ulepszenia, zechcieli łaskawie o nich uwiadomić Redakcję).

Z NASZYCH OBOZÓW
1925 roku.



Polski Obóz Instruktorski Hochberg w Alzacji
Instruowanie.

Człowiek, którego morze przyjąć nie chciało.

STUART MARTIN. Tłumaczenie z angielskiego.

„FARAON! FARAON!"

Ci z moich czytelników, którzy znają książkę pod tytułem: Hrabina de Monte Cristo, przypomną sobie ten okrzyk, którym Morrel, znajdując się w obliczu zupełnej ruiny majątkowej i śmierci, powitał powrót swojego okrętu. Okręt ten uważany był za stracony, pochłonięty przez fale morskie, tymczasem, przebywszy szereg niebezpieczeństw i przygód, szczęśliwie powraca do rodzinnego portu z drogocennym swoim ładunkiem.

Prawda bardziej zdumiewa, niż fikcja;— fakty są bardziej przekonywujące, niż imaginacja. Powrót „Faraona" w powieści Aleksandra Dumasa ma swój odpowiednik w realnem życiu. Jest również rzeczą możliwą, że opowiadanie o „Faraonie" bezpośrednio jest zaczerpnięte z historji miasta La Rochelle, francuskiego portu nad zatoką Biskajską.

La Rochelle, podobnie jak obecnie, przez liczne stulecia, wcześniej nawet nim Hugenoci zrobili z niej swoją stolicę i zanim pan Aufredi był jednym z jej najzamożniejszych obywateli, stale odznaczała się swoją wysoko rozwiniętą żeglugą. Aufredi był właścicielem kilku okrętów, które rozwoziły po całem Morzu Śródziemnem jedwab i inne cenne towary, przywożąc wzamian korzenie wschodnie i przyprawy, na które był ogromny popyt zarówno we Francji, jak i w Anglji.

Od czasu do czasu odbywał on osobiście podróże na własnym okręcie wzdłuż ozłoconych słońcem brzegów Lewantu, pomiędzy wysepkami Grecji, wreszcie docierał do brzegów Palestyny i Egiptu. Szczęście jego było wielkie. La Rochelle dumną była z bogatego kupca, Aufredi dumny był z rodzinnego miasta.

Była wczesna wiosna. Aufredi kończył ostateczne przygotowania do wyprawy, która, chociaż połączona była z wielkiem ryzykiem, zapowiadała ogromne zyski. Wreszcie zwołał razem wszystkich swoich kapitanów, którym wyraził życzenie, aby byli wyjątkowo baczni i ostrożni podczas swojej najbliższej podróży. Podobna droga nigdy przedtem nie była przedsiębraną. Również nigdy przedtem tak cenny ładunek nie był wysyłany z portu. Wnętrza i pokłady żaglowców naładowane były towarami, w których ulokowany był niemal cały majątek Aufrediego. Jeśli okręty powrócą szczęśliwie — stanie się on najbogatszym człowiekiem w całej Francji.

Początkowo Aufredi miał zamiar pojechania na jednym ze swoich okrętów, ostatecznie jednak zdecydował pozostać w domu. Była to ostatnia tak odległa podróż, jaką planował. Otrzymawszy pieniądze za ładunek z tej podróży, zamierzał wycofać się z handlu i poświęcić resztę życia wypoczynkowi.

Odpływały trzy okręty. Aufredi osobiście zeszedł do portu, ażeby pożegnać wyruszające w drogę, i kiedy na horyzoncie zniknął ostatni maszt, powrócił do domu. Przez trzy miesiące oczekiwał na szczęśliwą wiadomość.

Trzy miesiące upłynęły. Przeszły następne cztery miesiące.—Rok. Nie było żadnej wieści o okrętach.

Wreszcie przybył do La Rochelle okręt, przynosząc wiadomości, które go zaskoczyły i przeraziły. Jego trzy okręty zarzucone zostały przez burzę daleko na wschodni kraniec morza Śródziemnego. Widziano je, jak walcząc z rozszalałemi falami, wysyłały świetlane sygnały alarmowe.

Żaden okręt nie mógł im udzielić pomocy, ponieważ każda załoga miała na morzu dosyć pracy, broniąc i dbając o siebie samą. Również z powodu wiatru było niemożliwem zbliżyć się do nich. Fale zaś nie pozwoliły na spuszczenie szalup. Najwidoczniej zostały one porwane w kierunku Afryki, gdzie musiały zatonąć.

Po otrzymaniu tej wiadomości, Aufredi siedział w swoim domu, pogrążony w myślach. Rodzina jego obawiała się, że zwarjuje. Myślano bowiem, że rozpacza, tymczasem w rzeczywistości zastanawiał się nad dalszą swoją przyszłością. Po upływie dwóch tygodni ukazał się znowu światu.

Długi jego znacznie przewyższały aktywa, jakiemi w danej chwili rozporządzał. To też wysłał posłańców do swoich wierzycieli, prosząc, aby przybyli podzielić pomiędzy siebie resztki jego majątku. Natychmiast stawili się na wezwanie, zawzięcie kłócąc się pomiędzy sobą o każdy przedmiot i wogóle zachowaniem swojem przypominając stado zgłodniałych wilków. Pozbawiono go wszystkiego, pozostawiając

bez jednego pensa. Nie miano litości. Człowiek znajdował się nad przepaścią nędzy,— nie obawiano się zatem ani jego konkurencji, ani sprytu i rozumu.

Z żoną i córką Aufredi opuścił La Rochelle, udając się do Marsylji; albowiem zbyt bolesnem było dla niego pozostać w rodzinnem miejscu, miejscu szczęścia i powodzenia. Losowi swemu przeciwstawił się z tą samą ponurą determinacją, z jaką stawił czoło swoim wierzycielom i tak zwanym przyjaciołom, którzy obecnie z pogardą odwracali się od niego. Z całego majątku nie pozostało mu nic, z wyjątkiem pracy jego własnych rąk. Użył zatem rąk.

Przez parę lat wszyscy troje walczyli z nędzą. Aufredi pracował w porcie marsylskim, jako zwyczajny robotnik — czasowy robotnik, ponieważ żadnej stałej pracy znaleść nie mógł. Pracował na okrętach przy ich ładowaniu; chodził, jąko posłaniec, jednem słowem chwytał się każdej pracy, aby zarobić na kawałek chleba. Raz, jako marynarz, odbył krótką podróż na małym żaglowcu, życie jednakże było tam tak ciężkie, że niemal umierał z wyczerpania. Ręce jego przypominały wyschnięte żyły. Ciało jego stało się ciałem starca; plecy zgarbiły się pod ciężarami, jakie dźwigał.

Czyż żaden z kupców, z jakimi ostatnio pozostawał w stosunkach handlowych, nie mógł dostarczyć mu odpowiedniej dla jego zdolności pracy? — Woleli go jednak nie znać.

Wreszcie przyszedł najstraszniejszy cios. Żona i córka Aufrediego, wobec strasznej nędzy, zmarły. Niewątpliwie była to sytuacja, w której niejeden miałby dosyć życia i sam również pośpieszyłby za niemi do grobu. Aufredi jednak nie należał do tego rodzaju ludzi. Stał się on człowiekiem zamkniętym i milczącym, nie był on jednak sceptykiem, gdy mówił o przyszłości. Życie, do którego został zepchnięty, wykluczało wszelkie widoki na przyszłość. — Rozpacz jednak była dla niego niedostępna.

Błądził po porcie Marsylji, jak żyjący duch. Był człowiekiem, który pozostawał przy życiu, ponieważ nie uważał śmierci za koniec swego istnienia. Zdawało się, że posiada w sobie jakąś potęgę, która szydzi z chorób i słabości, zabierających ze świata jego towarzyszy pracy.

Pewnego dnia, gdy podczas odpływu morza Aufredi stał na portowej grobli, oparty o poręcz, podszedł do niego jeden z dawniej znających go kupców i szyderczo zapytał:

„Co, żyjesz jeszcze? Może naiwnie marzysz, że morze zwróci ci twoje okręty? Bądź spokojnym! Podobnież, jak ty w stosunku do swoich wierzycieli, tak i ono w stosunku do ciebie jest nigdy niewypłacalnym dłużnikiem".

Aufredi ze smutkiem podniósł głowę, twarz jego stała się popielatą.

„Morze posiada wiele niezbadanych tajemnic, mój przyjacielu"—odpowiedział.

To mówiąc zachwiał się nieprzytomnie i wpadł w morze. Rzucono się na ratunek, długie poszukiwania nie dały żadnych rezultatów. Wkrótce jednak ukazał się on w porcie blady i zmęczony, lecz żywy. Wszystkim tym, którzy otaczali go, zapytując, jak uratował się od śmierci, ściskał serdecznie ręce, mówiąc:

„Morze chce, żebym żył!"

To, co mówił, było zupełna prawdą. Nieprzytomne jego ciało, uniesione przez odpływ, powrotnemi falami zostało wyrzucone na jedną z belek mostu.

Aufredi całe to wydarzenie wziął za dobry znak dla siebie. Od dnia tego stał się innym człowiekiem. Pracował wśród robotników z miną prawie radosną. Żył ich życiem, jak każdy z nich. Praca trafiała mu się coraz częściej. Przyjmował ją zawsze, pracując swojemi rękoma i marząc swoją głową. Towarzysze pracy nazywali go człowiekiem, którego morze nie chciało pochłonąć.

Upłynęły trzy lata. Podczas tego okresu Aufredi został poznany, jako uczciwy i dobry towarzysz oraz znakomity doradca we wszelkich trudniejszych zagadnieniach. Koledzy jego—robotnicy opowiadali mu wszystkie swoje kłopoty i trudności, prosząc o radę; nie wahali się nawet wtajemniczać go we wszystkie swoje domowe sprawy; mówili z nim lub o nim, gdy tylko się zebrali, stał się ich uniwersalnym doradcą.

Prawdopodobnie w takich warunkach zakończyłby swój żywot, gdyby nie zbieg wypadków, który jedni nazywają szczęściem, inni Opatrznością. Pewnego wieczora Aufredi znajdował się nad brzegiem morza. Całodzienna praca została zakończona, okręty spoczywały na kotwicach. Morze w oddali zlewało się z horyzontem. Panowała zupełna cisza i niezamącony spokój. Nagle robotnik, który stał nieopodal od niego, zawołał:

„Kilka okrętów zbliża się do portu, przyjacielu Aufredzie!" „Są to jakieś dziwne okręty", ciągnął dalej, „muszą one pochodzić z odległych krain. Ich wygląd jest zadziwiający".

Obaj ludzie z ciekawością przyglądali się bocianim gniazdom żaglowców, które

wyraźnie już odbijały na horyzoncie. Zbliżyli się inni robotnicy. Wygląd żaglowców był rzeczywiście odmienny od tego typu, jaki widywano w Marsylji. Raptem Aufredi wydał okrzyk zdumienia i radości.

„Sa to moje okręty, które powracają! wołał. Bóg jest miłosierny!".

Robotnicy, którzy byli zebrani dookoła niego mniemali, że cierpienia odebrały mu rozum. Kilku usiłowało uspokoić go, radząc, by udał się do domu i tam wypoczął do rana. Jednakże Aufredi nie zwracał uwagi na ich słowa. Biegał wzdłuż brzegu tam i z powrotem, radośnie wołając, że jego okręty powróciły.

W tym samym czasie okręty szybko zbliżyły się do portu. Spuszczano zniszczone, połatane żagle, sygnalizowano, zapytując o miejsce, gdzie mogą zarzucić kotwicę, podpływano do mola. Na mostku kapitańskim pierwszego żaglowca stał wysoki mężczyzna, wydając rozkazy. Aufredi zawołał do niego po imieniu. Człowiek odwrócił się i przyjrzał się robotnikowi.

„Kim jesteś?" zapytał.

„Jestem Aufredi, właściciel okrętów, które prowadzisz!"

„Jeżeli jesteś panem Aufredim, ja przyprowadzam z powrotem do Francji twoje trzy okręty!" przyszła odpowiedź.

Długo zgromadzony tłum nie mógł zrozumieć cudu, jaki się stał w jego obliczu. Oczekiwano, aż kotwice zostaną zarzucone i wysoki kapitan wysiądzie na ląd. Był on opalony, jak miedź, z licznemi bliznami na twarzy i srogim wzroku, w poplamionem, wytartem ubraniu. Ludzie jego przeważnie byli w łachmanach.

„Panie Aufredi, poznaję pana. Dlaczego jednak ubrany jesteś jak zwykły robotnik?"

„Piotrze, brzmiała odpowiedź, widzisz mnie w tem ubraniu, ponieważ doniesiono, że moje okręty zostały zatopione podczas burzy u brzegów Afryki. Niech będą błogosławione Niebiosa za wasz powrót!"

To mówiąc, stary właściciel okrętów ukląkł wśród zdumionego tłumu niemych świadków wydarzenia i złożył gorące podziękowania Stwórcy.

POWRÓT AUFREDIEGO

Lotem ptaka rezeszła się wiadomość o powrocie okrętów Aufrediego. Tłumy ciekawych napływały ze wszystkich części miasta. Przybyli również urzędnicy portowi, aby sprawdzić wiarogodność pogłoski. Kupiec, który przed paru laty radził Aufrediemu zakończyć życie, przybył i złożył mu życzenia. Właściciele okrętów, którzy woleli go nie znać w nędzy, obecnie widzieli podniesionego do ich społecznego stanowiska. Jego portowi koledzy z wahaniem przyłączyli się do ogólnej radości.

Kapitan okrętu, który był poznał Aufrediego, opowiedział mu swoje cierpienia i przygody. Było to długie opowiadanie, prawie niemożliwe do wyczerpania, i o wiele wcześniej, zanim zostało ono dokończone, rozeszła się wiadomość, że Aufredi obecnie stał się nietylko bogatym człowiekiem, lecz o wiele bogatszym niż był kiedykolwiek.

Wszystkie trzy okręty, płynąc razem, zostały porwane przez burzę w kierunku Afryki. Wreszcie, silnie zniszczone, osiadły na mieliźnie. Załoga musiała pozostawić okręty i uciec się do pomocy krajowców, którzy wzięli ją do niewoli. Ta ostatnia chociaż trwała parę lat, nie była zbyt uciążliwą.

Gdy w końcu powrócili na swoje okręty, znaleźli je bardzo zniszczone i niezdolne do natychmiastowej żeglugi. Brak drzewa, koniecznego do zrobienia nowych sterów, był również jedną z przyczyn ich spóźnienia, ponieważ zmuszeni byli odbyć dłuższą drogę wzdłuż brzegów, zanim napotkali potrzebny materjał w odpowiedniej ilości.

Po ukończeniu tych wszystkich prac, kapitanowie udali się w dalszą drogę do punktów przeznaczenia, gdzie sprzedali swoje towary, otrzymując wzamian najbardziej poszukiwane w Europie artykuły.

Było jasnem, że skoro Aufredi sprzeda to wszystko, wszelka dalsza praca będzie dla niego zbyteczną. Postanowił on wrócić do La Rochelle. Zanim opuścił Marsylję osobiście udał się do portu, gdzie własnemi rękoma pomiędzy tych, którzy byli jego towarzyszami pracy rozdzielił sumę stu tysięcy franków.

Z triumfem powrócił do La Rochelle. Okręty jego zostały sprzedane, marynarze jego znaleźli nową pracę, on sam zamieszkał w hotelu. Zrobił to wszystko celowo. Przedewszystkiem chciał zobaczyć, jak zachowają się ci jego wierzyciele, którzy tak zajadle walczyli o jego majątek w owe fatalne dni. Chciał oznajmić im, że wszystkie jego poprzednie długi natychmiast zostaną uregulowane.

Wszyscy jego dawni przyjaciele powrócili do niego. Składali mu swoje życzenia i robili przygotowania, aby go znowu przyjąć do swego grona. Zapraszali go do siebie; ofiarowywali mu pojazdy do jego dyspozycji. Urządzono specjalnie na jego cześć przyjęcie, na które go zaproszono.

Nie poszedł na ten obiad, gdyż był zajęty swojemi planami. Krewni którzy odwracali się od niego, przybyli ofiarując mu swoje usługi.

Zamiast być gościem swoich przyjaciół, Aufredi oznajmił, że woli być ich gospodarzem. On sam zamierza urządzić dziękczynną zabawę i przyjęcie.

Goście przybyli licznie. Zajęto miejsca przy ogromnym stole. Zabawa dopiero się rozpoczynała. Nagle drzwi od wielkiego salonu zostały otwarte. Na progu ukazały się trzy osoby. Jedną z nich był biskup miasta La Rochelle, drugą najlepszy w mieście prawnik, trzecią wreszcie urzędnik państwowy. Na znak, dany przez Aufrediego, weszli oni do pokoju i zajęli miejsce po jednej stronie stołu.

„Przyjaciele" — powiedział cicho gospodarz—wszyscy wyrażacie mi swoją przyjaźń. Ufam, że jest ona szczerą. Jak szczera jest ona, najlepiej wiecie wy sami. Poznałem ją i oceniłem, gdy opuszczałem przed laty La Rochelle. Wy, moi krewni, wiecie, że jestem najbogatszym człowiekiem w mieście. Majątek mój musi być pozostawiony jakiejś osobie, lub osobom. Życie moje jest już krótkie. Myślałem o tym podziale, zanim zacząłem pracować, jako robotnik marsylski. Dzisiaj w obecności was wszystkich postanowiłem podpisać mój testament". Biskup podniósł ręce, błogosławiąc gospodarza i zgromadzonych gości. Zapanowało głuche milczenie.

„Ten dokument jest zapisem całego mojego majątku na szpital, który ufundowałem, zwłaszcza dla synów morza i ich dzieci — powiedział Aufredi — pokazując testament, to jest cel, na który daję wszystko".

Aufredi żył już bardzo krótko po tem, jak zapisał swój nieoczekiwany majątek na ten pożyteczny cel. Niewątpliwie szczęściem było dla chorych marynarzy, którzy tam byli pielęgnowani, że fale morskie, unoszące bezwładne ciało portowego robotnika, wyrzuciły je na belkę mostu.

Może naprawdę jest coś w tem, co krąży w podaniu ludowem, że Aufredi był człowiekiem, którego morze pochłonąć nie chciało.

Z dzienniczka Groszka

dn. 9 czerwca 1925 r.

Wstałam wcześnie, bo o 6-ej. Na dworze było szaro i mroczno, ciemne chmury pokrywały całe niebo „Będzie deszcz" pomyślałam sobie — „zbiórka u Wichury w magazynie na schodach. Czy to komu szkodzi, że deszcz ulewny będzie spływał z dachów i drzew? O nie! My będziemy rozmawiały jak zawsze wesoło, radośnie i o radosnem. Sprzątnęłam pokój, wstawiłam herbatę i usiadłam przy stole, aby uporządkować dzienniczek.

Wichura kazała nam opracować 6 punkt prawa o przyrodzie. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam smutne, zakurzone drzewa i żółkniejące trawniki.

(Czerwiec poświęcony jest VI punktowi prawa). Sam Bóg w swej wielkiej dla świata miłości uczy nas kochać cały świat. Przyroda cała łaknie napoju — Bóg zsyła deszcz.

Kocham Cię, Boże — kocham te krople srebrzyste, co usuną pragnienie biednych roślinek. O 9.30 wyszłam z domu bo o 10. miałyśmy wyruszyć na wystawę do kamienicy Baryczków.—Poszłyśmy z Wichurą (to nasza drużynowa!). Obejrzałyśmy obrazy wszystkich włoskich malarzy z XV i XVI-ego wieku, podziwiając aksamitny ton pendzla Rafaela, jego Madonny z Sykstyńską na czele — ogromne, zdrowe postacie Michała Anioła — szkice Leonardo da Vinci — obrazki Tycjana.

A potem każda z nas wybrała dwa obrazy, które się jej najbardziej podobały.

Mnie się najbardziej podobały Narodziny Chrystusa, namalowane w pastelowym tonie i ślicznie wykończony o bajecznym kolorycie obraz p. t. „Anioł Zwiastujący".

Z wystawy wyszłyśmy na stare miasto, obejrzałyśmy „Syrenę", kamienicę Fukiera, weszłyśmy w podwórze jednego z najstarszych domów, aż wreszcie wstąpiłyśmy do katedry św. Jana—a tam, przyglądając się nagrobkom, przypomniałyśmy sobie z historji czyny Dekertów i Małachowskiego. Wracałyśmy na

Pragę pieszo, wesoło rozmawiając o naszych nadziejach na obóz. Wtem jedna z Motylków zauważyła kobietę, która uginała się pod ciężarem żelaznego łóżka. Oczywiście ucieszyłyśmy się szalenie dobrą okazją, odebrałyśmy łóżko i niosłyśmy je kolejno. Dla nas wszystkich nie było ono ciężkiem i szłyśmy sobie wesoło mimo, że mała Mrówka rozdarła sobie pończoszkę. Cóż wielkiego?— zaceruje.

Kobieta była bardzo zadowolona, jakieś panie szeptały za nami:

Patrz—harcerki, harcerki!

Tak, to byłyśmy my — harcerki, ale niezupełnie harcerki. Naprawdę niezupełnie. Wydaje mi się, że zabrałyśmy kobiecie łóżko dlatego, żeby sobie zrobić przyjemność, a nie z myślą ulżenia bliźniemu. Czyż tak być powinno? Przeglądając swój dzienniczek, zauważyłam, że chęć pomagania innym jako coś, co sprawia przyjemność, stało się moim nałogiem. Traktuję dobre uczynki jak inni używanie alkoholu lub tytoniu.

Wieczorem była zbiórka zastępu, omawiałyśmy typy harcerskie druhny Nekraszowej i myśli, które nam nasunęły pisma harcerskie i młodzieży. Postanowiłyśmy, czytając pisma, najważniejsze myśli w nich omówione zapisywać w swoich dzienniczkach.

Pism nasz zastęp czyta dużo — wymienię tylko ważniejsze: Harcerz, Harcerz Wołyński (Kowel) Nasz Hufiec (Chełm Lubelski) Samowychowanie (Utrata—Pruszków) Zuch (Praga) Siew (Organ Młodzieży Wiejskiej) „Jutro Polski" i t. d. Tylko Jaskółki mogą się tem poszczycić. Górą Jaskółki! — Czy słyszycie Kukułki, Pszczoły, Orły, Mrówki i Motyle. Górą Jaskółki! *Groszek z 26. W. Z. D. H.*

Kochany Groszku!

Pytasz się na początku swego listu, że nie wiesz, czy przyda się na co Twój dzienniczek. Odpowiedzią na to niech Ci będzie obecny numer „Harcerza" — bezpośrednio najbliższy po wysłaniu przez Ciebie tych kilku dobrych zdań.

I wiedz o tem, miły Groszku, że „Harcerz" zawsze umieści każdy opis życia drużyny, oddający wiernie jej pracę, nastroje, pragnienia. Przecież o to właśnie chodzi, by za pośrednictwem „Harcerza" poznały się wzajemnie drużyny, aby wytworzyło się naprawdę zbiorowe życie, wymiana myśli — nie tylko chwalących daną drużynę, ale także i tych, które głęboko sięgając w istotę harcerskiego ruchu, wskażą na braki, na konieczność nowych prac i nowych wysiłków.

Niechaj więc Groszek nie zapomina o Redakcji i niech będzie pewny, że każde Jego szczere i serdeczne odezwanie się — będzie szczerze i serdecznie przyjęte. *Redaktor.*

Komisja Loterji Harcerskiej zwróciła się do „Harcerza" z prośbą o przypomnienie harcerzom i harcerkom, zalegającym z wpłatą za losy, że termin wniesienia pieniędzy już dawno minął.

Przypuszczając, że interesowane osoby niestety zapomniały o pierwszorzędnym obowiązku, jaki ma każdy człowiek względem swych wierzycieli, ograniczamy się narazie tylko do ogólnego wezwania. Ci druhowie, którzy dotąd zalegają z pieniądzmi, winni **natychmiast** wpłacić je do Pocztowej Kasy Oszczędności na konto czekowe 9606.

Nie mogąc wprost pojąć, w jaki sposób znalazły się w naszych szeregach osoby, a nawet (niedowiary!) drużyny, które nie oddały dotąd należnych sum, zapowiadany, że w najbliższej przyszłości imiennie — i publicznie wezwiemy te osoby i drużyny, aby bezzwłocznie uregulowały swe długi w Komisji Loterji Fantowej na budowę Stanicy Związkowej w Warszawie. *Redakcja.*

Redakcja i administracja „HARCERZA" pragnąc zachęcić Dhny i Dhów do zjednywania prenumeratorów postanowiły za przysporzenie Harcerzowi czytelników udzielać premij według poniższego wykazu.

Dla ułatwienia Administracji rozsyłania premji oraz ujęcia w ewidencję świeżych czytelników, załączamy druczek, który do ilości uzyskanych prenumeratorów należy odpowiednio wypełnić i przesłać, a pieniądze przekazać na konto P.K.O. 10020.

Pokwitowania za wpłaconą prenumeratę administracja będzie rozsyłała indywidualnie prenumeratorom.

WYKAZ PREMIJ:

Za	uzyskanie	10	prenumeratorów	rocznych	premja	wartości	20 zł.
„	„	„	„	półroczn.	„	„	10 „
„	„	5	„	rocznych	„	„	5 „
„	„	5	„	półroczn.	„	„	5 „
„	„	10	„	kwartaln.	„	„	5 „
„	„	10	„	miesięczn.	„	„	2. 50
„	„	5	„	kwartaln.	„	„	2. 50

Premje będą się składały z towaru lub książek wybranych dowolnie z cennika C. K. D. H., który na żądanie będzie wysłany.

Do Przyjaciół „Harcerza"

Rozstawaliśmy się na długi czas wakacyjny z tą myślą, że wszyscy nie tylko odpoczywać, ale i pracować będziemy. Nowy rodzaj pracy, inne okolice, inni ludzie wszystko to dało nam długie chwile odpoczynku po mozołach całorocznej, jednostajnej roboty.

Dziś wróciliśmy wszyscy na dawne miejsca. Ponieważ jednak wróciliśmy pełni żaru słońca i czystem tchnieniem powietrza wzmocnieni, więc z podwójną energją zabrać się nam trzeba i do dawnych prac i podjąć wielkie, nowe.

Administracja „Harcerza" zwraca się do wszystkich Czytelniczek i Czytelników z wezwaniem do propagowania naszego pisma.

Cóż my Wam powiemy w tej sprawie?

Doskonale czuje to Redakcja, że wysiłek młodzieży nad zdobyciem materjalnych podstaw dla „Harcerza" przez zjednywanie mu dziesiątek i setek prenumeratorów jest żaden. I czujemy też, że wiele ulepszeń i upiększeń musimy sobie odmówić, gdyż finanse na to nie pozwalają.

Więc chyba jedno powiemy: Uznajcie zdobywanie prenumeratorów dla "Harcerza" za nową pracę swoją, podejmijcie ją zaraz, nie zwlekajcie, a przy zapale, dobrych chęciach i młodzieńczym humorze zasypiecie Administrację nowemi zgłoszeniami.

Czuwaj

REDAKCJA.

PRENUMERATA:

Rocznie	wraz z przesyłką	12 zł.
Półrocznie	„ „ „	6 „
Kwartalnie	„ „ „	3 „
Miesięcznie	„ „ „	1 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Za całą stronę	100 zł.
za pół strony	55 „
za ćwierć strony	30 „

Numer pojedyńczy 50 groszy.

(Niniejszy numer za sierpień — wrzesień 1 zł.)

Prenumeratę wpłacać należy na konto P. K. O. № 10,020 albo przekazem pocztowym do administracji „Harcerza" w Warszawie, ul. Traugutta № 2.

Adres redakcji: Warszawa, Al. Ujazdowska 37 m. 12.

Wydawca: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.* Redaktor *T. Uhma.*

Druk. p. f. „LECH", Sp. z o. o., Warszawa, Koszykowa 33, Tel. 403-66.